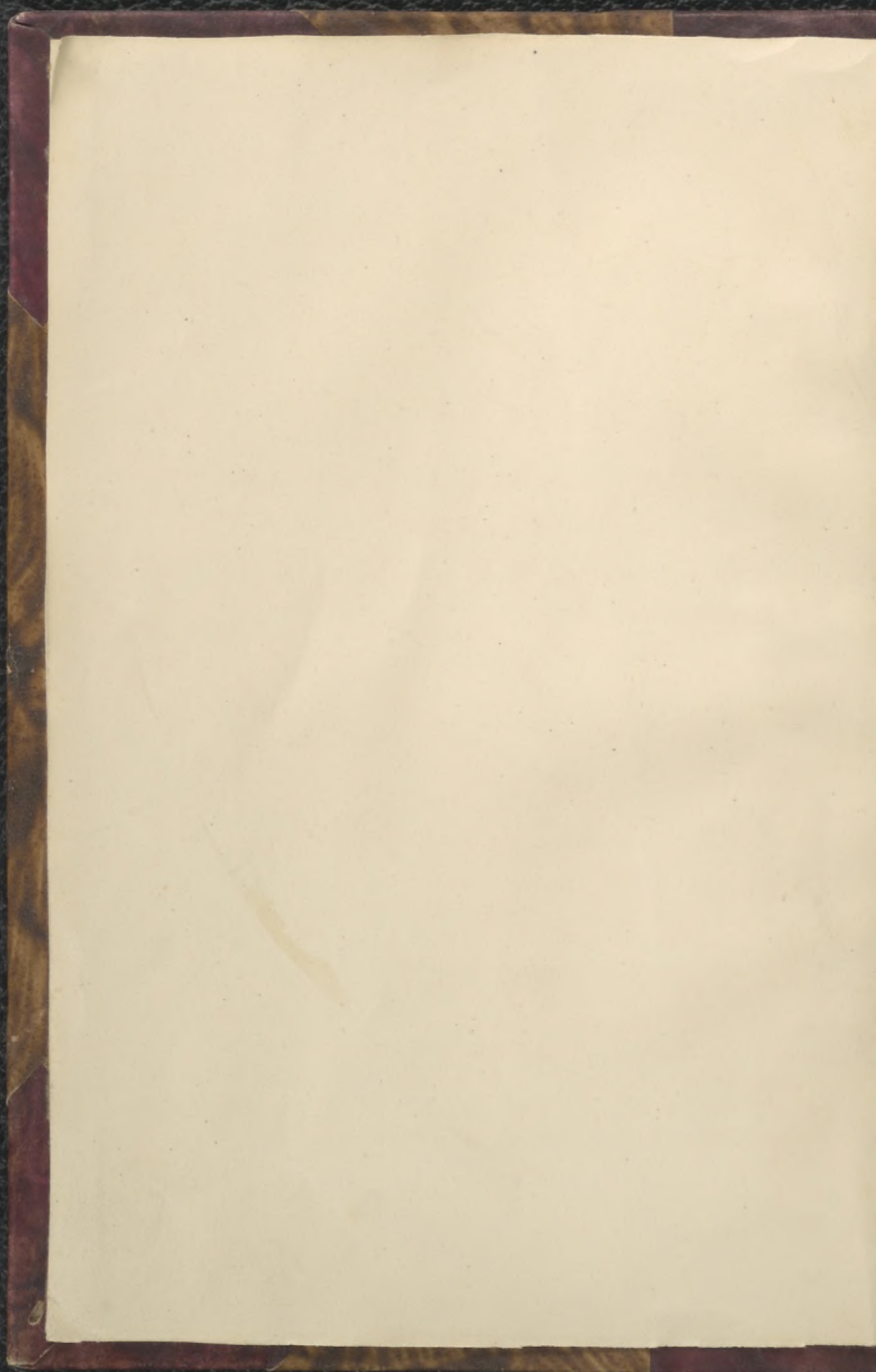


I 1.462.372



OGŁOSZENIE

Zygmunta Gerstmann, Księgarza-Wydawcy

w Bruxelli, rue neuve 34.

BIBLIOTEKA DOMOWA.

Zbiór najlepszych utworów piśmiennictwa polskiego

DAWNYCH I NOWYCH,

**Niemcewicza, Potockiego, Hofmanowój, Chołoniewskiego,
Jaraczewskij, Kraszewskiego, Wojnarowskiój,
Chojeckiego, Kosiniego i t. p.**

Biblioteka Domowa składać się będzie z 45 do 50 tomów
w 8ce, każdy od 250 do 400 stronic.

Cena każdego tomu

DWA FRANKI

w kraju i za granicą.

Każde dzieło
przedaje się
oddzielnie.

Ceny nie
powinny być
podwyższane.

PROSPEKT.

Tegoczesne polskie piśmiennictwo świetny przedstawia obraz umysłowój narodu działalności. W każdój prawie gałęzi mamy piérwszego rzędu pisarzy, z których nie jeden stanowić będzie epokę w dziejach literatury naszój. Obok nich widzimy liczne grono pracowników, którzy

skromniejsze, lecz nie mniej użyteczne oddali usługi krajowemu piśmiennictwu. Zważywszy nawet przeszkody, jakie utrudniały dotąd rozwój ducha narodowego, dziwić się przychodzi, iż nie bardzo nas inne narody wyprzedziły, pomimo ich niepodległego bytu i swobodniejszych instytucyj.

Wszelako wpływ, jaki piśmiennictwo nasze wywiera na ogólne ukształcenie narodu, nie może iść w porównanie z tym, jaki u innych widzimy. Miarą jego najpewniejszą jest liczba czytelników, to jest ilość drukujących się egzemplarzy. Kiedy gdzie indziej, każde znakomitsze dzieło drukuje się w kilku, często w kilkunastu tysiącach i większej liczbie egzemplarzy, u nas parę tysięcy jest już niezwyčajnym zjawiskiem.

Z kąd to pochodzi? — głównie z tąd iż ceny książek u nas są tak niedostępne, że zamożni tylko nabywać je mogą; a że ich liczba w porównaniu z ogółem narodu, wszędzie jest nie wielka, wydawcy zmuszeni są stosować się do możebnego odbytu i ograniczać liczbę drukujących się egzemplarzy. Ograniczenie takowe podwyższenie cen pociąga za sobą; wszystkie albowiem koszta wydawnictwa, przy małej ilości egzemplarzy, cenę ich koniecznie podwyższają. Gdzie indziej, koszta te, rozłożone na nierównie większą liczbę, czynią ceny przystępniejszymi dla ogółu, bez żadnego uszczerbku autora i wydawcy, owszem z większą jeszcze dla nich korzyścią.

Tak więc u nas, wyższa tylko warstwa społeczeństwa korzystać może ze zbawiennéj oświaty, jaką piśmiennictwo wywiera na ogół narodu. Zamożniejsi tylko nabywają książki; bibliotek prywatnych, których takie mnóstwo za granicą, u nas prawie nie ma. **Światło świeci tylko w górze!**

Smutny ten stan zwrócił już uwagę ludzi kraj

miłujących, którzy chcieli usunąć główne jego przyczyny, przez znaczne zniżenie cen, znanych już, ale mało upowszechnionych książek. W tém szlachetnym przedsięwzięciu odznaczyły się szczególnie: *Spółka żytomierska i Biblioteka polska Turowskiego*. Przyjęcie, jakiego doznała ta ostatnia, służy z jednej strony za dowód, iż nie tylko tak zwane *nowości* mogą znaleźć wziętość u czytającego ogółu; z drugiej zaś, iż nie każdy mógł korzystać z dawniejszych utworów, dla cen zbyt wysokich.

Niniejsza **Biblioteka Domowa** również nie wiele obiecuje prac drukiem jeszcze nieogłoszonych. Będzie to wybór takich, które mimo rzetelnj wartości, mało dotychczas są znanemi lub wcale na widok publiczny nie wyszły. Przyjąwszy **taniość** za główną zasadę i zaletę przedsięwzięcia mojego, pragnę wejść ze wspomnionemi wydawnictwami w szlachetne a dla publiczności korzystne współzawodnictwo. Mając sposobność przekonania się, o ile wysokość cen utrudnia upowszechnienie najlepszych i znakomitych utworów, mniemam iż możebne zniżenie cen, będzie mi w mojem przedsięwzięciu rękomią współdziału i wziętości u rodaków. Wiedziony jedynie pragnieniem służenia pożytecznie krajowi, mam niepłonną nadzieję przyczynić się choć w drobnej części, do obudzenia umysłowego ruchu w klasie książek nabywać nie mogącej. Przystępne dla wszystkich ceny, pozwolą mniej nawet zamożnym **zakładać małe Biblioteki** a zamięlowanie do czytania powszechniejszém się stanie.

Biblioteka Domowa zawierać będzie dzieła, **których wartość ocenila już krytyka**, a niektóre z nich policzyła do rzędu najcenniejszych utworów piśmiennictwa naszego. **POWIEŚCI, POEZYE, DRAMATA, PODRÓŻE** i inne literackie płody, urywkowej, lekkiej i poważniejszej treści, **Kraszewskiego, Hofmanowej, Wojnarowskiej,**

Chołoniewskiego, Potockiego, Niemcewicza, Chojeckiego, Kosińskiego, Budzyńskiego, Olizara, Jaraczewskiej z Krasińskich i wielu innych, tworzą całość różnorodności pełną, w której czytelnicy wszelkiego stanu i wykształcenia znajdą, już to drogie pamiątki narodowe, dziś zwłaszcza użyteczne przeszłości wspomnienia; już to zdrowe rady i głębsze myśli w kwestyach religijnego, politycznego i prywatnego życia; już to zajmujące obrazy, bez trudów kształcące rozum i serce; słowem przyjemny a pożywny posiłek dla duchowych każdego potrzeb.

Wydanie jak najstaranniejsze. Format, papier jak niniejszy prospekt.

Materyały dotychczas przygotowane wynoszą około 45 tomów. Mam nadzieję iż pisarze krajowi przyczynić się zechcą do ich pomnożenia.

Warunki.

Tom pierwszy BIBLIOTEKI DOMOWEJ, obejmujący dramat pod tytułem: JEREMI WIŚNIOWIECKI, wyjdzie 1. Listopada r. b.; następne tomy po dwa lub trzy na miesiąc.

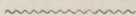
Wyjście każdego tomu, ze stosownym objaśnieniem jego treści, ogłoszone zostanie w pismach krajowych i zagranicznych.

Każdy tom, jeżeli odrębne stanowi dzieło sprzedawać się będzie oddzielnie.

Cena każdego tomu, obejmującego od 250 do 400 stronic, wynosi franków dwa.

Ktoby sobie życzył mieć całą seryą, może ją nabyć za cenę więcej jeszcze niższą, płacąc z góry za 50 tomów 90 franków.

Oprócz osób umyślnie do tego uproszonych, które upowszechnieniem BIBLIOTEKI DOMOWEJ zająć się przyrzekły, nabyć jej można we wszystkich znaczniejszych księgarniach, tak krajowych, jak zagranicznych, a w Bruxelli u wydawcy, Zygmunta Gerstmann, rue neuve 34.



SPIS DZIEŁ

stanowiących pierwszą Seryą Biblioteki Domowej.

POWIEŚCI.

- Baranowski, S., Przygody starego żołnierza z IX pułku Warszawskiego. Tom 1.
 Dycalp, (John of) Doktor Panteusz w przemianach. Tom 1.
 — Nowe opowiadania. Tom 1.
 Jaraczewska, Elżb. z Krasieńskich, Powieści narodowe. Tomów 4.
 Kosiński, Ad. Am., Powiastki i opowiadania żołnierza z wojen 1789—1812. Tomów 3.
 Kozłowski, Amalia, powieść z życia wypisana dla życia. Tomów 2.
 Mańkowski, W., W kraju i za granicą. Powieść. Tomów 2.
 Pamiętnik oryginalna, przez *** (Olizara Nareysa). Tomów 2.
 Potocki, Jan hr., Rękopism znaleziony w Saragossie. Tomów 6.

POEZYE.

- Chojecki, Edmund, Geśła.
 Miniewski, Władysław, Filozofia nie filozofia w bajkach. Tomów 2.
 Niemcewicz, Jul. Urs., Prometeusz.
 Bluszcze, przez młodą Polkę (Karol. Wojnarowska). Tom 1.
 Z Psalmu psalmy. (Olizara).

DRAMATA.

- Jeremi Wiśniowiecki, Sceny dramatyczne z XVII. wieku. Tom 1.

PODRÓŻE.

- Hofmanowa, Klementyna z Tańskich, Drezno i jego okolice, z 45 drzeworytami. Tom 1.
 O Algeryi, przez L. hr. B. Tomów 2.

TŁUMACZENIA.

- Halma, Fry., Sierzmierz z Rawenny. Tragedya w 5 aktach, tłumaczona przez F. A.
 Szyller, Fr., Dzieła dramatyczne; przekładu Michała Budzyńskiego. Tomów 4.

PISMA ROZMAITE.

- Chołoniewski, St., Pisma pośmiertne. Tomów 2.
 — Artykuł nadesłany. Obraz z galerii życia mego. Tom 1.
 Hofmanowa, Klementyna z Tańskich, Święte niewiasty. Tomów 2.
 Kraszewski, J. I., System Trentowskiego. Tom 1.
 Do matek polskich, przez Autorkę Pierścionków Babuni (Karolinę Wojnarowską). Tom 1.

Spodziewając się że to moje przedsięwzięcie przyjątem będzie i należyte przez publiczność znajdzie poparcie i uznanie, przygotowałem szereg dzieł innéj jeszcze treści, pod tytułem:

BIBLIOTEKA POWIEŚCI HISTORYCZNYCH.

Zbiór najlepszych powieści, przedstawiających obrazy naszej narodowej przeszłości.

To co dotychczas w tym rodzaju zebrałem, obejmuje 15 tomów, w 16^{ce}, każdy od 200 do 250 stron.

Cena każdego tomu

1 frank, 75 centimów

w kraju i za granicą.

SPIS DZIEŁ

stanowiących Bibliotekę powieści historycznych.

- Tom I. i II. **Lechia w IX. wieku.** Powieść historyczna, przez W. B. Tomów 2.
- „ III. i IV. **Biała Kniehina.** Powieść historyczna z czasów Bolesława Wielkiego, przez W. B. Tomów 2.
- „ V. VI. i VII. **Maximilian,** arcysiąże austryacki, obrany król polski. Obraz narodowy z XVI. wieku, przez F. M. Tomów 3.
- „ VIII. i IX. **Wyprawa pruska i Półtora krzyża.** Powieść historyczna z czasów Bolesława Wielkiego, przez W. B. Tomów 2.
- „ X. i XI. **Król wygnaniec.** Obrazek historyczny z lat 1714—1725, przez ***. Tomów 2.
- „ XII. XIII. XIV. i XV. **Maleparta,** powieść historyczna z XVIII. wieku przez J. I. Kraszewskiego. Tomów 4.

Każde dzieło sprzedawać się będzie oddzielnie. Życzący sobie nabyć cały zbiór, mieć go mogą, płacąc z góry 22 fr. 50 ct.

Zygmunt Gerstmann,

Księgarz - Wydawca.

KATALOG

niektórych dzieł wydanych nakładem **Zygmunta Gerstmann**a w **Bruxelli**, jako też książek komissowych.

(Artykuły komissowe oznaczone są gwiazdka*)

Można ich nabyć, po cenach poniżej oznaczonych, albo wprost z **Bruxelli**, albo za pośrednictwem księgarzy krajowych i zagranicznych.

*Cracovie et ses environs. Ozdobione wizerunkami ubiorów ludu krakowskiego. 16^o. Cena fr. 2.

- ***Dłużniewski, Marcelli**, Dawna Polska z stanowiska chrześcijańskiego rozważana. 80. 1861. Cena fr. 5, 50.
- Dumas, Alexander i Hoffman**, Historia dziadka do orzechów. (Histoire d'un casse-noisette); po polsku i po francusku. Z drzeworytami. 2 tomy 80. Cena fr. 4.
- Grabowski, A.**, Skarbniczka naszej archeologii. Z widokiem zamku królewskiego krakowskiego z XVI. wieku i 39 wizerunkami baszt i bram krakowskich. 80 maj. Cena fr. 10.
- Kochowski, Wespazyan**, Roczników Polski Klimakter IV. obejmujący dzieje Polski pod panowaniem króla Michała. Z łacińskiego tłumacz. 80 maj. Cena fr. 7, 50.
- Kraszewski, J. I.**, Pod włoskim niebem. Fantazya. 160. Cena fr. 1, 75.
- Lelewel, Joachim**, Navosilzov à Vilna. 80. Cena fr. 1, 50.
- ***Lewes, G. H.**, Dzieje żywota i utworów Göthe'go, oraz zarysy wieku jego i współczesnych mu mężów; podług ogłoszonych i nieogłoszonych druków źródeł. Z Angielsk. przeł. i własnymi uwagami powiększył A. Nowosielski. 80. 530 stronic. Cena fr. 8.
- ***Lublner, L.**, Des diverses amnisties russes, octroyées aux Polonais par les empereurs Nicolas I et Alexandre II. 80. Cena fr. 3.
- *— Del'abolition du servage en Russie. 120. Cena fr. 2.
- *— De la condition civile et politique des juifs dans le royaume de Pologne. 80. Cena fr. 3.
- *— Obrona żydów zamieszkałych w krajach polskich. 80. Cena fr. 2.
- ***Mill, John Stuart**, Zasady Ekonomji politycznej z niektórymi zastosowaniami do Ekonomji społecznej; z angielsk. tłum. R. P. i B. 2 tomy. 80. Cena fr. 10.
- ***Mosbach, A.**, Wiadomości do dziejów polskich z archiwum prowincyi Szląskiej. 80. 1861. Cena fr. 9.
- *— Przyczynki do dziejów polskich z archiwum miasta Wrocławia. 80. 1861. Cena fr. 5, 50.
- Nodder, Karol**, Skarb bobowy i kwiatek groszku. — Poczciwy geniusz. — Historia psa Holzmanowego. (Trésor des fèves et fleur des pois. — Le génie bonhomme. — Histoire du chien de Brisquet); po polsku i po francusku, ze 120 drzeworytami. 80. Cena fr. 2.
- Opisanie historyczno-statystyczne wielkiego księstwa Poznańskiego** (przez Ludwika Platę). 80 maj. Cena fr. 5.
- ***Perner, Dr.**, Litość w Stosunku do Cywilizacyi. 120. Cena fr. 1.

- Pierscionki Babuni**, czyli bieg życia kobiety, w pięciu oddziałach, przez Autorkę Słów kilku do Matek Polskich. (Karoline Wojnarowska. 4 tomy. 160. Cena fr. 20.
- ***Pism zbiorowe**. 2 tomy. 80. Cena fr. 15.
- Skarga**, ks. Piotr., Kazania na niedziele i święta całego roku. 6 tomów. 80. Cena fr. 15.
- Stabl, P. J.**, Zakład hrabiny Berty (La fondation de la comtesse Berthe); po polsku i po francusku, ze 150 drzeworytami P. Bertall. 80. Cena fr. 2
- Nowe i jedynie prawdziwe przygody Tomcia Palucha (Tom Pouce); po polsku i po francusku, ze 160 drzeworytami P. Bertall. 80. Cena fr. 2.
- ***Stolzmann, Karol Bogumir**. Partyzantka, czyli wojna dla ludów powstających najwłaściwsza. Z tablicami, planami i mapą Polski, wyobrażającą podział kraju strategiczno-partyzancki. 80. Cena fr. 8.
- ***Thackeray, Snoby**, utwor humorystyczny, tłum. z ang. 120. Cena fr. 1, 50 c.
- ***Volumina legum**, czyli prawa, konstytucye i przywileje królestwa Polskiego i W. X. Litewskiego. Przekład zbioru praw staraniem XX. Pijarów w Warszawie od r. 1732 do 1782 wydanego. 10 tomów. 80. Cena fr. 90.
- Woronicz, J. P.**, Dzieła poetyczne wierszem i prozą. 3 tomy. Cena 8 fr. 50 c.
- **Sybill**, poema historyczne. 160. Cena 1 fr. 75 c.
- Witwicki, Stefan**, Listy z zagranicy. 160. Cena 1 fr. 75 c.
- Wspomnienia Wschodu**. Dziennik podróży do Syrii, Egiptu, Palestyny, Turcyi i Grecyi. Z rycinami, przez Z. S. 80 maj. Cena fr. 8.
- Wybór modlitw dla ludzi rzymsko-katolickiego kościoła**. 320. Cena fr. 1.
- To samo oprawne w szagrin „ 2 „
- Zieliński, Gustaw, Kirgiz**. Powieść (wierszem). Wydanie nowe ozdobione 20 drzeworytami. 80 maj. Cena fr. 6.

Nakładem tejże księgarni wyjdą wkrótce następujące dzieła :

O KSZTAŁCENIU MATEK, czyli o cywilizacji rodzaju ludzkiego przez kobiety.

PIESNI NARODOWE dziś po kościołach śpiewane dawne i nowe z notami. Cena 1 fr. 50 c.

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

LIBRARY

CHICAGO, ILL.

BIBLIOTEKA

DOMOWA.

Zbiór najlepszych utworów piśmiennictwa polskiego,

dawnych i nowych.

TOM TRZYDZIESTY SIÓDMY.



BRUXELLA

u ZYGMUNTA GERSTMANN.

1862.

Yankho nster Placyd

NOWE

OPOWIADANIA

JOHNA OF DYCALP.

WYDANE NOWE



BRUXELLA

u ZYGMUNTA GERSTMANN.

1862.



5 1.462.372

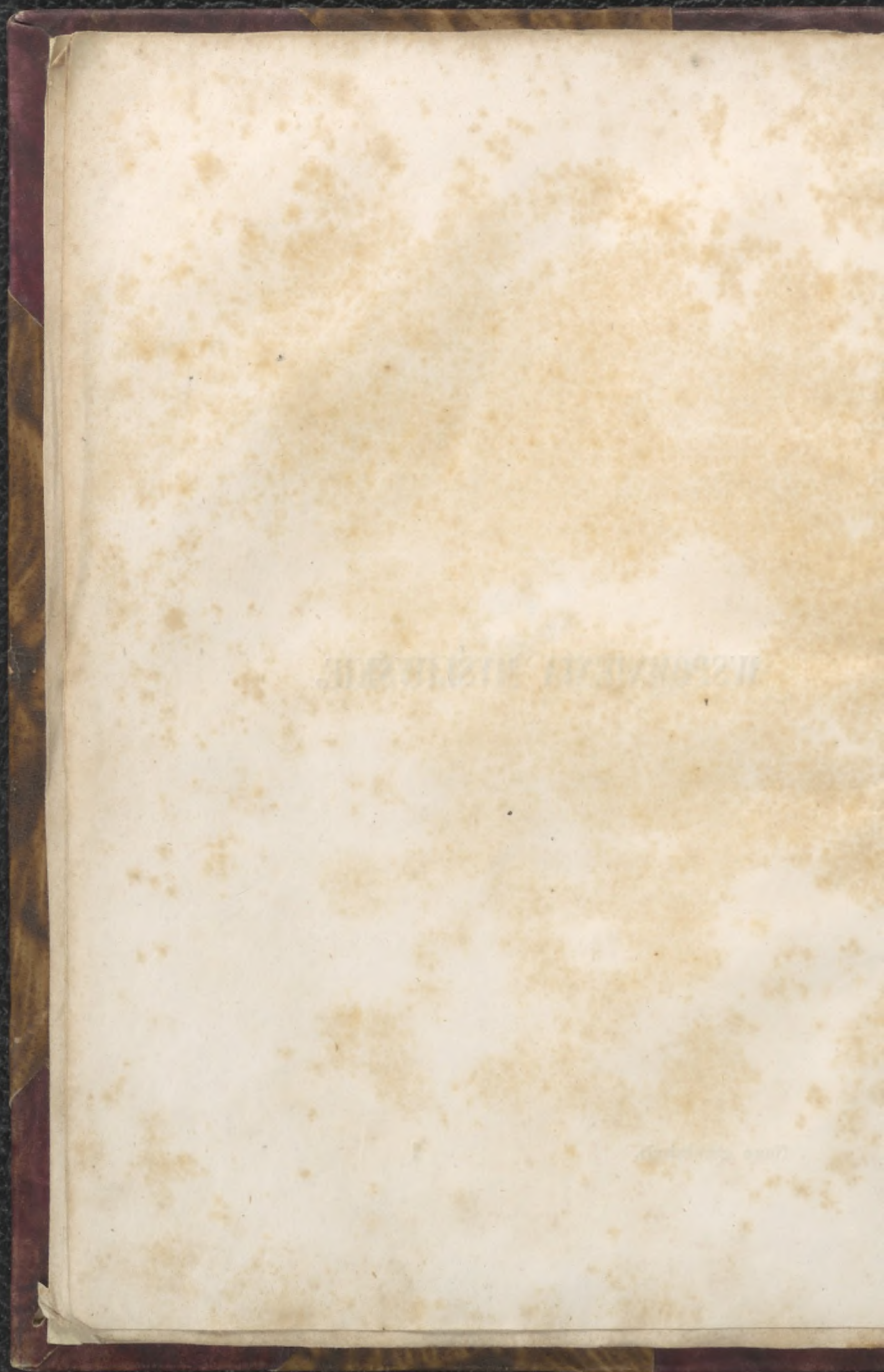


1983 K 1826/6

WSPOMNIENIA MYŚLIWSKIE.

Nowe opowiadania.

1



1.

Guerra caza y amores
Par un placer mil dolores.*)

— Kochany Karolu! Jak ci się zdaje?
będzie też jutro porosza?

— Jak to: czy będzie? musi być! Przecież widzisz że dzierlatki podlatują słupem i trzymają się na zachód. Śnieg i odwilż!

— Ale-ż bo i w piątek take-s mi proro-
kował! I dzierlatki były na placu: a dlatego
mróz uciał aż się skrzyło!

— Co innego w piątek. Mówił-żem ci

*) Miłość, żołnierka, i łowy,
Tysiąc bied za szal chwilowy.

w piątek, że dzierlatki wzbijają się słupem? Pewnie żem nie mówił! wily się one wtedy niespokojnie jak przed odmianą, i wyturluwały ją, to jest mróz tęższy. Ale jutro, o to zupełnie co innego! Jeżeli ci nie wytropię i nie utroczę jutro tego starego gracza, co to już trzy razy przesadził przez Ścinaję, i co nam tyle razy jak pędzelkiem szasał omykiem koło samego nosa —

— No, wierzę ci, wierzę kochany Karolu!

— Ale czy masz zupełne, moralne przekonanie?

— Już ci też tego obudzić w sobie jeszcze nie mogę: ale mam ufność tak niemal wielką, jak Panna Anastazyja w czerwiennym królu. Pamiętaj-że, moje życie, abyśmy wyjechali jutro do świtu. Tytoń, wędlinę, chleb, ser, i tam dalej, przygotują nam jeszcze z wieczora. Tylko-ż zmiłuj się, żeby była ponowa.

— Kiedy ci już mówię! Będzie, i taka,

że przeczytamy każdy trop jak na welinie. Zawczasu nawet każę u siodeł podłużyć troki.

— Gdyby to tylko nie było przed czasem?

— Ha! jeszcze wątpisz? to czegoż? zostań jednak, nakryj się aż po oczy, i niech ci się przyśni żeś królewiczem! A my sobie biedni, jak świt wyruszymy samowtór z Cyrylkiem, i z wikniańskiej góry zatrąbimy ci żałośnie na pożegnanie!

— Jeżeli mi tak zrobicie, to przebudziwszy się królewiczem, każę was obu powiesić, *vis-à-vis* na wikniańskich sosnach. Ale nie, nie! miej nadzieję, kochany Karolu, aż do ostatniej chwili. Jestem pewnym że mi się serce rozboli, i że w samą porę batystową chustką dam znak ulaskawienia. Chyba by pospieszono z egzekucją. W takim razie, wybac i żegnaj zacny, serdeczny, niezapomniany przyjacielu! Uręczam cię jednak, że nigdy nie będę mógł spojrzeć łaskawem okiem na tych, co mi cię tak skwapliwie powiesili.

— A więc ten dowód twójgo dobrego serca cenię ja wyżej, stokroć wyżej nad szubienicę. Na wszelki jednak przypadek, idę obmyślić zawczasu, w imieniu swoim i Cyryllego, lamentującą ostatnią przemowę do mającej się zebrać na ten akt łaskawej publiczności. Wasza zaś królewiczowska mość racz tymczasem pomyślić osobiście o wędlinie i o pozłacanej edycyi gdańskiej *in 8^{vo} majori*. —

— *Recte et acute observatum esd!* — odpowiedziałem krzywiąc się sposobem Grodka, któregośmy niegdys parodyowali wszyscy, lecz wszyscyśmy czcili i kochali. Możnaaby nawet powiedzieć, że ułomność nieporównanego mistrza, co każde niemal jego słowo czyniła malowniczem, była dla płoczej młodzieży jednym z najlepszych środków mnemonicznych.

Nazajutrz jeszczem spał w najlepsze, gdy Karol ubrany już zupełnie, i poprzedzany szumiącym samowarem, wołał raz po

raz: bym siadał na koń, wstawał, ubierał się i pił herbatę.

— To coś tak jak Czacki: — « jedź, potem zaprzężesz! » odpowiedziałem, chcąc wytargować choć chwilę jeszcze komfortu.

— Ależ posłuchaj, jak wietrzyk szumi, ciepły gdyby z huty, jak tłucze okiennicami, jak skomlą i biegają i tarzają się charty. Nawet stary Zefir raczył wywrócić kulka: a ty wiesz, co to wróży? że zawadzimy sobie o lisa albo nawet i o burego! Śnieżek musiał pruszyć, jak mu trzeba było, do samej tylko północy. Pobieźmy, proszę cię, na Basin, Podmoszę, nie zatrzymując się nigdzie aż do Dziewiątkowicz: a tam równo ze dniem rozpoczniemy królewskie polowanie. Tylkoż kurstaj się mi prędeej, mój serdeczny! Pamiętaj że są ludzie, co raniej od nas wstają i mogą nam wyrządzić większego figla od Trojańskiego konia: gdy pierwej od nas objadą albo obejdą dzisiejsze tropy.

Przypomnij tylko sobie, choćby te olbrzymie bóty leśniczego z Basin, któreśmy ostatnią razą na przestrzeni trzech mil widzieli i kleli. Jak uważałeś, podkute są one bretnalami: ręczyć więc można że najmniej do trzech zim nieznoszone. Albo naprzykład kundysy tego Zawierszańskiego szlachcica i ta straszliwa jego samopalka, co to na raz bierze kwartę prochu i strzela tak że nie osiedzi się zając choćby był w trzeciej parafji. Kiedy jej nie rozerwało przeszłej środy, to próżna nadzieja, widać że proch już jej nie pożyje! A pewnie musi być ona teraz w robocie!

— Tylkoż nie zapędzaj się tak w widmach krasomowskich — odpowiedziałem śmiejąc się, i ubierając się z pośpiechem — bo gdy mi dowiedziesz że już wszystko stracone, tom gotów powiesić głowę i położyć się na nowo. Tej pomyłki, jak ci wiadomo, jak najświetniej dopuścił się względem swych rodaków, Demostenes w mieście Atenach.

— Cóż chcesz lakonizmu, mój Panie! to ci się zdobędę na cesarski! Otom wypił herbatę, zapalam fajkę i siadam na koń! *Activité, activité, vitesse, je me recomande à vous!*

Jak mówił, tak też zrobił w rzeczy samej.

Ledwiem o półmili go dopędził. Ciemność poranku i śpieszna jazda po utartej drodze, długo nie dały mi rozpoznać stanu powietrza, ani ocenić tej znamienitej poroszy, której podług słów Karola, było właśnie tyle ile potrzeba. Ale przykłusowawszy nakoniec na to miejsce, z którego miało się rozpocząć nasze królewskie polowanie, gdyśmy zboczyli na pola i znacznie już rozwidniało, okazało się niestety, że i śnieg chrupał potężnie, i nie było najmniejszej ponowy, i ów wietrzyk ciepły gdyby z huty, był dość niemiłym, dość niepocziwym wietrzyskiem.

Przecież myśliwy, gdy się wybierze w czyste pole, jakabykolwiek zastała go po-

goda, nie zwykł zawracać do domu, nie rozprawiwszy się z losem. Byłoby to jakoś nierycersko, tak na przykład, jak gdyby wojsko już uszykowane do bitwy cofnęło się z placu, dlatego że po bliższym rozpatrzeniu się pozycya okazała się nie dość dobrą. W podobnych razach myśliwi mają tysiąc sposobów do łudzenia się nawzajem: i choć najszczerzej są przekonanymi o ich nicości, strzegą się wszakże nie okazywać tego przed sobą. Należy to już niejako do dobrego tonu i do szlachetnej etykiety.

— Zdami się — rzekłem — że na mróz się zanosi: jeżeli tylko to chrupanie śniegu nie jest jeszcze ostatkiem dawnej śnieżnej kory, odligającej powoli.

— Niezawodnie że tak jest! — odpowiedział Karol. — Odwilż jeszcze mała, jak zwyczajnie nad rankiem: ale koło południa, zwłaszcza gdy wyrzy słońce, pole będzie przedziwne.

Zatem w milczeniu jechaliśmy dalej, na-

daremnie upatrując dawniejszych nawet tropów, bo wiatr, któregośmy już teraz przez wzajemną względność, nie nazywali ani ciepłym ani zimnym, jakby wyrzekłszy się pewnego stałego kierunku, zniżył się do samej ziemi i zamieniony w tysiączne wiry bawiąc się niby ze śniegiem jak sielskie dzieci z piaskiem, nasze nawet ślady zasypywał w oka mgnieniu.

— Czy tylko nie będzie wiejki? mój Karolu! — rzekłem mimowolnie; lecz wnet dla złagodzenia tej niewczesnej uwagi, przydałem: — chcę mówić, czy nie naniesie nam wielkiego śniegu ten wiatr zachodni?

— To i cóż? pozamiata stare, a choćby nawet i dzisiejsze tropy: nie wiele biedy! kto zna tak na wylot tutejsze pola, jak my z tobą, że moglibyśmy iść o zakład: na którym morgu i pod którym nawet krzakiem kot siedzi? dla tego może być a może sobie i nie być porosza. Wyznam ci nawet, że nie wiele mi to robi przyjemności, gdy po tro-

pach jak po kłębku dochodzę kotliny. Żadnej tu kombinacyi, człek jak machina jaka obraca się z koniem i pilnuje się tropu jak tłumacz textu. Na honor to czyste tłumaczenie. Najmniejszej oryginalności, najmniejszej syntezy czy synezy. Taki nawet sposób polowania, lub że go nazwę szpiegowania, zda mi się raczej przeznaczonym dla lisa, dla ogara, niż dla człowieka-obywatela, dla istoty, która powinna:

erectos ad sidera tollere vultus.

Wtedy więc dopiero liczę sobie za jakąś rozrywkę, za jakąś zasługę umysłową, gdy wyjechawszy na pole i zorientowawszy się z miejscowością, powiadam do siebie z góry: ot tu Panie, musi być zajac! I jadę prosto, jak na upatrzonogo, zawczasu puszcza ze smycza charty, podjeżdżam i jest! Nie prawdaż, co?

— O naturalnie! — odpowiedziałem, nie śmiejąc już ani wspominać o poroszy.

— Więc rozjedźmy się na jakie pare set kroków!

Lubom wiedział, że ten obrót myśliwski posłużyć nam miał w tym razie na to jedynie, abyśmy nie mogli z sobą rozmawiać i nawzajem nie odejmowali sobie nadziei, powodowałem się jednak w milczeniu.

Jechaliśmy zatem z osobna, dalej i dalej.

Jużeśmy były o dobre trzy mile od domu i dochodziło już do południa, z tem wszystkim słońce ani wyjrzało, mróz się wzmagał, charty z powieszonymi głowami niechętnie wlekły się za końmi i starały się jak raz trafić w ich ślady: słowem było oczywiście, że marzniemy daremnie.

Na szczęście czy na nieszczęście, właśnie wtedy gdy orientując się z miejscowością niczegośmy się podobnego nie spodziewali, zbudzony zdaleka trudnem stapaniem naszych koni, przelamujących co chwila śnieżną skorupę, pomknął się zajac.



Pierwszy Karol go dojrzał. Dało się słyszeć nagle wezga!! I na ten elektryczny okrzyk, krew mi uderzyła do głowy z taką mocą, że niemal się postonił. W okamgnieniu zapomniałem o wszystkim i wypuściłem konia o ile zdołał.

— Nie podobna opisać tego upajającego wrażenia, jakiego doznaje w czystym polu człowiek młody, nie zajęty żadną dolegliwszą troską, prócz myśli o wypłoszeniu zająca, na widok nagłego spełnienia tej znamienitej myśli. Dziesięć machin galwanicznych, dotykanych spólcześnie wszystkiemi palcami lewej i prawej ręki, nie zdołałoby sprawić podobnego wstrząśnienia. Za nic strome miedze, rowy, kamienie, leci się wtedy na oślep nie dbając o złamanie szyi: bo cóż jest szyja, ta przewież kości pacierzowych, gdy oto zając i charty mogą wnet zniknąć za górą, i nie będzie się widziało, jaki był pierwszy obrót, jaki drugi, i na jaką przestrzeń po każdym z tych obrotów szarak



się odsadzał? Tylko myśliwi i miłośnicy konnych wyścigów doznają jeszcze na tym starym przekwitłym świecie, prawdziwie mocnych wrażeń! A więc ktośkolwiek, łaskawy czytelniku, i jakkolwiek może się mieć w tej chwili tve nieocenione zdrowie, racz zatrzymać przy sobie ubolewania nad tym wietrznym rodzajem ludzi, chciej przecie przypuścić, choćby tylko jako prawdopodobieństwo logiczne: że ci co tak lekko i płochy narażają życie, zapewne nie długoby się namysłali z poświęceniem jego i w pięknej potrzebie.

Cóżkolwiek bądź, nieszczęśliwy zając, *de quo supra*, jakby dla zachęcenia nas tylko, dał się doścignąć z początku chartom raz i drugi, a potem odsunął się na znaczną metę, wypadł na błota, rozciągające się na wiorst kilka aż do lasu jeszcze dotąd od nas niezвідzanego, i poniósł się jak strzała. W innym razie, byłby to dla nas jedyny widok, wyforować takiego walnego i mocnego

kota, na równą i tak daleką przestrzeń, na której jak na dłoni moglibyśmy widzieć i policzyć wszystkie jego obroty, susy, i kominiki. Lecz teraz, gdy wszystkie korzyści miał po sobie uciekający i jak wichur zamiatał po śniegu, podczas gdy biedna pogoń załamywała się ustawicznie, wolelibyśmy już, aby góry i lasy całą tę scenę zasłoniły przed nami. W ostatnim przypadku zostawałoby coś przecie dla wyobraźni. Nie omieszkaliibyśmy sobie dowodzić, że gracz szczęśliwy chociaż i dopadł lasu, nie prędko jednak do dmucha się swych skoków, że zapewne musiał on wziąć najmniej pięćdziesiąt jakie obrotów, że niepodobna aby go Minos albo Ścigaj nie ucałowali po swojemu, że chyba musiało zajść coś nieprzewidzianego, chyba Minos przewrócił się w obrocie — itd. Ale tak jak teraz cała rzecz odbywała się na równinie i w naszych oczach, i żaden z tych nieprzewidzianych wypadków nie miał miejsca, a zając coraz bezpieczniej miał się

ku lasowi, nie podobna było ani obmyślić nic takiego, coby było niewątpliwie prawdziwym za górą. Jeszcze jednak nie traciliśmy serca. Pędziliśmy nasze biedne konie z całej mocy i co chwila udzielaliśmy sobie postrzeżeń, że ot ot któryś z chartów poprawia się, namaga, i bardzo być może że jeszcze dojdzie i da obrót, a byleby jeden tylko obrót — ho! ho! — Bo na stepach np. Panie, albo po co szukać tak daleko, ot choć w Brzeskiem lub w Prużańskiem, nie raz tak bywa, że charty zaczynają się poprawiać dopiero w piątej, szóstej wiorście, w ósmej domagają się do zająca, a na dziewiątej prawie zawsze biorą!

I jakby za karę, że niejednokrotnie niegdys pozwaliśmy sobie żartów nad myśliwymi, których charty rozwijają swą rękość dopiero po kilku wiorstach, znaleźliśmy się sami teraz w tej smutnej ostateczności. Ale w pędzie koni, jak w improwizowanej parlamentowej odpowiedzi, ujdzie czasem i do-

brym jest dla siebie tenże sam dowód, nad którym nie dawno się dworowało.

Jedną razą, w tym szalonym biegu, koń Karola potknął się na ukrytej pod śniegiem ślizgawicy, i upadł na głowę. A lubo szlachetne zwierzę wnet porwało się na nogi, i gotowem było do dalszego biegu, taka była jednak myśliwska zaciekłość czy niecierpliwosć jeźdźca, że jakby więcej ufając własnym nogom, wyskoczył z siodła, i z pejczem w rękę, jak drugi Turnier lub Frankoni, minął mię, i o kilka kroków poleciał do śniegu.

— Stój Dedalu! Ikarze! Romulusie! Dokąd i po co lecisz? Taka wyborna porośza! — wołałem śmiejąc się w najlepsze.

Ale jakkolwiek są błyskawiczne te akustyczne koła czy fale, któremi się głos rozchodzi, przecież me słowa nie dognały Karola w powietrzu i zastały go już na śniegu.

— « Jeżeli zwyciężysz generale, nim

umrę, daj mi znać przynajmniej!» *) — odezwał się on słabym głosem.

— Wszystko stracone, prócz honoru!
— odpowiedziałem wstrzymując konia. Wiesz że poległy towarzyszu, że same żywiły przeciw nam się sprzyściły. Wstawaj więc, *surge puer*, i mężnie wracajmy do domu!

Tknięty widać moją wymową, Karol podniósł się, stanął, lecz wnet szybko rozpostarł ręce, zrównoważył się na nich chwilę, jakby się sposobił do dalszego lotu, i półśmiejąc się pół-jęcząc, podobnie jak gdy kto jest nagłym kurczem napadniony, upadł znowu.

— Cóż to? — zawołałem śmiejąc się jeszcze nie skończonym śmiechem.

— *Ni fallor*, złamałem nogę.

— Ale gdzie-ż tam!

— Tu, w lewym kolanie!

*) Słowa śmiertelnie ranionego generała Dubois, do Napoleona.

— No, to-ś ją zwichnął!

— Mówię ci że zламаłem. Przecież nie jestem pieszczoch, i ze zwichnioną nogą mógłbym zda mi się polować sobie do wieczora: a to patrz, jak baba, nie zdejmę się z miejsca, i choćbyś mię ozłocił, czuję że nawet po drabinie nie wgramoliłbym się na konia. Strasznie mię boli.

— Ale roi ci się kochany! Śmieję się znów z tego!

— Gotówem, tylko nie mogę. Bo przecież, łaskawy Panie, trzeba mieć litość nad każdym, a więc i nad własnem kalectwem.

Zeskoczyłem z konia. Rzuciłem się do naciągania zwichniętej nogi, ale biedny mój Karol, za pierwszym razem zajęczał tak przeraźliwie, że łzy mi stanęły. Nie tracąc czasu przywołałem dojeżdżacza. Uradziliśmy zlejcować konie, podnieść Karola, i podtrzymując go z obu stron, jakkolwiek zawieźć do domu: gdy jednak przy najostrożniejszych usiłowaniach w podjęciu go z ziemi, zaczął

on na głos wołać i zaklinać nas na wszystko święte, abyśmy dozwolili mu przynajmniej umrzeć na ziemi, musieliśmy wyrzec się tego zamiaru i biedz co prędzej do najbliższej wioski lub chatki po sanie. Ale nieznanomość miejsca i coraz wzmagająca się wiejka, nie dozwalały nam puścić się na pewne. Wracać zaś do którejkolwiek z naszych sąsiednich wiosek było daleko. Więc na los szczęścia, puściliśmy się do lasu, który mieliśmy przed sobą, w nadziei spotkania, lub posłyszenia jakiegokolwiek drwa rąbiącego wieśniaka. Jakoż nie dojeżdżając jeszcze lasu, posłyszeliśmy gwizdanie i myśliwskie nawoływania psów *lege artis*. Dojeżdżacz mi zrobił uwagę, że idzie tu komuś zapewne o połapanie naszych chartów, i domysł ten okazał się prawdziwym: bo ujrzeliśmy wkrótce stojącego w rogu kniei jakiegoś zielonego sampana, trzymającego już na chustce parę naszych chartów, wtedy gdy reszta z pewnem jeszcze niedowierzaniem, ale przytem

i z tem właściwem chartom obywatelstwem — świata, mizdrzyła się mu i nadskakiwała zdaleka.

Na ten widok Cyrylli wyprzedził mię o kilkanaście kroków.

— Dzień dobry Sampanu! I dziękujemy za zwołanie naszych psiaków! — odezwał się on, z lekka dotykając czapki i nie tracąc postawy.

Zielony Jegomość podniósł rękę do wąsa i odrzekł zimno: — Schowajcie, Panie Gościu, to podziękowanie dla pierwszego złodzieja, na którym poznacie swą własność. A ja tu dzięki Bogu we swojej właściwej kniei!

— Charca — tu! do konia! Iskra, Zefir do konia! — zawołał dojeżdżacz.

I zawołana po imieniu para, wzięta już zaczęła miotać się, skomleć, i chcieć niby się odgryzać.

— Wara mi! — krzyknął gajowy —

albo najpierwszemu, najlepszemu psu w łeb wypalę!

— Och! teraz nie o tem! — zawolałem — weź psy na smycz Cyrylli i oddaj je wszystkie temu Panu! — potem obracając się do gajowego przydałem: — Ziomku! wszakże się nie myślę, że służyłeś niegdyś wojskowo?

— Albo-co? Tak, mój Panie! w tych latach, co was widzę, brodziłem już po śniegach szwajcarskich.

— Kiedy tak, więc śmiało mogę ci się zdać na łaskę, za najechanie kniei. Nim jednak przyjdzie do sądu i wyroku, proszę co najspieszniej twej pomocy dla mojego towarzysza, któregoś stąd o parę wiorst zostawił na śniegu. Spadł on z konia i lękam się aby nie złamał nogi, bo ani się ruszyć nie zdoła. Niedaleko stąd mieszkasz zapewne, pozwól więc nam swych sani: a jeźliś łaskaw, to i nie odmów pomocy! —

Gdym to mówił, dojeżdżacz pobrał już na smycz charty, i podawał je gajowemu.

— A idź-że mi sam z nimi do stu par millionów djabłów! — fuknął legionista tak gniewie, że aż mu się nastrzępiły wąsy. I wnet puszczając psy trzymane na chustce, rzekł do mnie łagodnie: — Ha! kiedy tak to pańskiemu koledze pilną jest każda minuta. Niechże więc ten pan ze swoim orszakiem tu zostanie a poda mi swojego konia: bo spory będzie kawał do mojej chałupy. Zatem służę mojemu Panu!

To mówiąc, żwawo skoczył na konia, zalecił mi mieć się na oku od gałęzi, i ruszył malutką dróżką w głąb lasu.

Za kwadrans przycwałowaliśmy do niewielkiego domku, z porządnem do koła zabudowaniem i ogródkiem, od morga, w głuchym do koła lesie. Na tentent koni wybiegł z budki biały pies sybirski, wielkości wilka: a z izby, w śpiesznie podniesionem okienku wyjrzała młoda jakaś główka kobieca: ale

gajowy krzyknął gróźnie a cicho! i wnet Sybirak powrócił do budy a okienko zapadło. Gospodarz prosił mię, abym wszedł do domu i ogrzał się nieco tymczasem: sam zaś pośpieszył do stajenki oświadczając że natychmiast zaprzęże swojego konika, bo nasze wierzchowce nie zdały się zapewne do chomała, a choćby i umiały w nim chodzić, nie znalazłoby się dla nich przypadającej uprzęży.

Poszedłem za radą uprzejmego żołnierza tem chętniej, że od rana w polu szczerze tęskniłem już do kominka: a przytem miałem obaczyć tę leśną ładną główkę, co mi znikła tak nagle. Ale zaledwiem na próg stąpił, już była ona w alkierzu. Tylko drzwi na rzemiennych zawiasach leciuchno się ważyły, jak fale po pluśnieniu nurka. Przed kominkiem, siedziała przy kołowrotku, podszła kobieta, ale miłych jeszcze rysów: zapewne żona leśniczego. Pozdrowiłem ją. Odpowiedziała mi ze swobodną twarzą, bez

zadziwienia i pomięszania zwyczajnego ludziom uboższym: prosiła mię abym się ogrzał, i wnet z właściwą kobietom zręcznością, co to bez pytań umie przecież od razu wywołać potrzebne objaśnienie, rzekła poglądając w okno: że zapewne musiały szczęśliwie pójść łowy, kiedy okazały się potrzebnymi aż sanie.

Gdym opowiadał przypadek Karola, drzwiczki od alkierza mimowolnie jakoś przemknęły się nieco, i zabłysnęła w nich para turmalinowych oczu. Pośpieszyłem im na spotkanie — ale w tem wszedł gospodarz z oznajmieniem, że sanie już gotowe i należyście usłane. Mocny i pieszczoniec znać chowany koniczek strażnika w oka mgnieniu wyniosł nas z lasu. Polem pobieглиśmy też sporo, kierując się śladami naszych koni: słowem prędzej może niż w godzinę zajechaliśmy po Karola. Ale w bolu i oczekiwaniu chwile idą polskiego, jak się wyraził Karol dziękując nam za pośpiech.

— Cóż, jak twa noga? — spytałem.

— Namarzła, to i zmiłkła już nieco.

Ale tak mi dokuczyla, tak okropnie, że jeżeliby to się dało pogodzić z honorem i ze chrześcijańską miłością, prosiłbym was, abyście ją tu zostawili *in statu quo*, z bótem i z ostroga.

Mój stary żołnierz od pierwszych słów Karola nabrał doń serca. Widząc że chory znosi swój stan z taką pogodną myślą, zaczął mu wtórować w żartach, opowiadać cudowne przygody to z nim samym, to z kolegami w różnych batalijach zdarzone, opisywać: jak to kula armatnia umie czasem urwać obie nogi, jak np. Panu Marszałkowi *Lannes*, przy którym był on dnia tego posyłką, a przecież człowiek żyje. —

— Pięć godzin! — podchwycił z uśmiechem Karol.

— Ale jak się oni Panie całowali z Cesarzem, jak głos na głos płakali, to żeby mi kto, powiadam Panu, dał wtedy w ręce tego

szodre austryaka, co worychtował to nie-szczęśliwe działo, kąsałbym go Panie i wypluwał, i bił i miesił w ziemię, przysięgam Bogu! —

Śród tych gniewów na najniewinniejszego być może krwi ludzkiej Austryaka, który zapewne dawno już powędrował tam gdzie i Wodz-Cesarz, i Pan Lannes marszałek, przebyliśmy najtrudniejszą podróż po zaspach polnych i wjechaliśmy na dróżynę idącą lasem. Ale do domu było nam daleko: prócz tego nasze konie znajdowały się w stajence leśniczego: więc bez namysłu, z najszczerzą owszem wdzięcznością przystaliśmy na ofiarowany nam nocleg w jego domku.

— Ponieważ jednemu z Panów, los zdarzył znaleźć na własnem polu to, czego inni szukają na kraju świata — mówił z uśmiechem legionista — och, to korzystajcie-ż z pory, nie lękajcie się ubogiej chałty, i starajcie się poznać bliżej kochaną

matkę-biedę: bo ta, jak mówi nam bywało nasz kapelan ksiądz Izdebski — lepszą jest od milliona.

— To jest ksiądz Izdebski wykalkulował że od milliona bied lepsza jedna! — rzekł przekomarzając się Karol.

— Och nie! od gotowego Panie, brzęczącego milliona! Czyliżby, proszę Pana, ot naprzykład terażniejszy król Francuzki przyszedł do korony i do tych millionów, którym, jak mówią, nie zna on teraz liku, jeźliby go w Reichenau niejaki Pan Gabos*), któregoś na własne oczy widział chodzącego z teką, nie zapoznał z biedą!

A wacan, Panie pieszy dojeżdźczacu! — zawołał na Cyryllego, któregośmy właśnie napędzali — pomajacz tu troche ze swoją palestrą, i daj mi czasu do wzięcia na łańcuch mojego bonończyka: bo mógłby ci on wydusić tych wszystkich cienkomordych!

*) Pod tem imieniem, Ludwik Filip był nauczycielem matematyki w Reichenau niedaleko Ronstancyi.

2.

W domku leśniczego oczywiście nas oczekiwano; lubo, jak mi się zdało, gospodarz na wyjeździe kilku słów nawet nie mógł powiedzieć swej żonie. Przecież o tem oczekiwaniu mówiły pewne odmiany i przygotowania domowe, które natychmiast wpadły mi w oko. Stół był nakryty, łóżko zasłane białą flanelową kołdrą, fabryki Kossowskiej i upiętrowane świeżo powleczonemi poduszkami, gospodyni w odświeżonej granatowej przyjaćielce: a na kominku smażyła się w rynce hałaśliwa jajecznicą.

Gdyśmy wnieśli Karola i umieścili na łóżku, jakby umyślnie dla niego tak starannie wypulchnionem, legionista, za króciutkiem pozwoleniem, (było to jego przysłowie) przystąpił do obejrzenia nogi, uznał ją, jak mówił, mocno stłuczoną, oświadczył zatem, że najlepiej będzie sprowadzić na skorym razie Pana Teodora, i nieczekając próśb naszych przydał, że najdalej za parę godzin (chybaby już nie było P. Teodora w domu) postara się go dostawić.

— Po cóż ma się sam trudzić! — rzekł do mnie Karol — wszakże zaraz zapewne nadejdzie i nasz Cyryllek.

— Cerulik Panów — odpowiedział leśniczy zatrzymując się już na progu — jeżeli to jest ten sam co pełni funkcją i dojeżdżacza, o ile bez grzechu sądzić można z miny o ludziach, nie zda się i do trzymania talerzyka przy naszym Panu Teodorze!

Nie mogliśmy z Karolem wstrzymać się od głośnego śmiechu na to *qui pro quo*

z naszym Cyrylkim. Ale zacny gospodarz ceniąc wyżej czas niż swoje założenie, wolał wyjść bez objaśnienia sobie powodu naszego śmiechu, niż wracać i przekonywać nas racjami. Ofiara niełatwa i szlachetność zaiste nader rzadka w starym, pospolitym człowieku!

To też Pani Leśniczyna nie przepuściła nam bezkarnie naszej niewczesnej wesołości. Nie ujmując nic niby naszemu Cerculikowi, który mógł być najbieglejszym w swojej professyi i nawet najtrzeźwiejszym człowiekiem, (właśnie przymiot, do którego nasz Cyrylli nie mógłby się przyznać dobrem sumieniem) przedstawiła nam ona oczekiwanego P. Teodora w takim nimbie doskonałości, w takich rześistych promieniach reputacyi i sumiennosci i szczęśliwego oka i dobrego serca i pobożnej duszy i równej dla wszystkich, dla panów i biednych grzeszności — z takim szczególnem uczuciem i podniesieniem głosu mówiła nam nade-

wszystko o tej ostatniej, że mimowolnie nastęczył mi się domysł: czy nie jest to tylko zięć skarbiony — jeżeli będzie w tem wola boża?

— Młodyli to człowiek ten Pan Teodor?
— spytałem niby obojętnie.

— W wieku średnim, w samym jeszcze wieku.

— Żonaty czy bezzenny?

— Nie jeszcze. I dobrze czyni że się nie śpieszy. Za to go mają wszyscy, czy dostatni czy ubodzy, o każdej porze na zawołanie. A i fortunki jakiej takiej się do zbiera, nim go Bóg komu zdarzy.

— Więcby najlepiej może zrobił, gdyby pozostał już bezzennym! — rzekłem, chcąc wywieść w pole leśniczynę.

— Zapewne! — odpowiedziała przeciągle — chociaż, jak to mówią, śmierć dopiero pokazuje, w jakim stanie przetrwać komu Pan Bóg przeznaczył! — Ale at, jam się rozpletła, a Panowie możeby nie

odmówili, z drogi posilić się czemkolwiek. —

To mówiąc odjęła rynkę od ognia, i zbliżywszy stół do łóżka Karola, zapraszała nas — na co Bóg dał — z najlepszym sercem.

Lubo myśliwska nasza torba jeszcze była nietkniętą, nie chcieliśmy przecież dać nawet poznać uprzejmej kobiecie, żeśmy z liczby tych zepsutych dzieci losu, dla których już ani jajecznicza nie zda się dość pańską i arystokratyczną. Byłoby to tem nieszlachetniej z naszej strony, im z większą dwornością postąpiła sobie względem nas gospodyni. Bo chociaż równie pewna jak sam *Watel*, że znamienita potrawa udała się jej wyśmienicie, i mogła się spodziewać należnych od nas pochwał swojemu mistrzostwu, z tem wszystkiem chcąc nam zostawić zupełną swobodę, wyrzekła się skromnie holdów i zesłała do alkierzyka, z kądyba przez jaką szparę miała nas na oku.

— Jeżeli ci nie bardzo ból dolega — rzekłem podając łyżkę Karolowi — to możesz mieć nie tylko żywą intuicyą ale nawet i sensacyą: jak Henryk VI. zjadał małdrzyki.

— Prawda, na honor! — odpowiedział uśmiechając się mój biedny Karol. — I kokl i małgorzata!

— Jest i Betsy — przydałem z cicha.

— To jest, niech-by sobie była!

— Kiedy ci mówię jest, to znaczy żem ją już dawno widział.

— O kiedy tak, to może w tem była tylko twoja piekielna forsa i rachuba, abym złamał dziś nogę, i tu właśnie musiał odbywać kurs leków! Tak nie uchodzi, mój kochany! Rycerze średniowieczni, Minnesingerowie, Truwersy i Trubadury, nie mogąc inaczej ujrzyć swoich zaklętych piękności, łamali wprawdzie nogi *dycht* pod samemi ścianami kasztelów ale *praeprimis* łamali osobiście: było to więc ładnie i grze-

cznie z ich strony. Pan zaś Dobrodziej umyślił wyrećzyć się przyjacielem. To już nie heroizm ale dyplomacya. A gdyby-ż temu pańskiemu przyjacielowi zdarzyło się, lecąc na ziemię w tej postępnj chyżości kwadratów, dywergować o parę linijek i złać szyję?.. — Napisał-bys mu, spodziewam się, nagrobek wierszami, i zostawił-bys nad nim białą albo ciemno-bronzową figurę, gorzko płaczącą w urnę — sam zaś przyjaciel we łzach nieutulony, jako opiewa *epitaphium* — ale zmiłuj się, dokończ już za mnie i tej historyi i jajeczniczy: bo moja przekłeta noga, jak gadzina odżyła od ciepła i o jakże mi boli!!

W tej chwili dostawił się jakoś i nasz dojeżdżacz.

— Cóż? mój Cyrylku! — rzekł Karol — nie ma nogi!

Zapytany skromnie się uśmiechnął.

— Cóż? szkoda nogi, Cyrylku!

— Szkoda, Panie! jak rodzonej matki!
— odpowiedział chlipając Cyrylek.

— Daj mu pokój! — rzekłem do Karola — on oczywiście się uchodził!

— Kto? ja Panie? Jak dziś jest święta sobota, takim nigdzie a nigdzie nie zachodził. Może Wielmożny Pan myśli sobie, że ja mam w głowie? To niech-że Wielmożny Pan zapyta mię o cokolwiek. Bo to przykro człowiekowi kiedy jest nieposadzający się! —

— Ależ, mój Cyrylku! gniewasz się widzę, a najniesłuszniej. Albo-żem to ja posadzający się powiedział, żeś musiał nachodzić się po lesie i uturbować! Dojeżdżacz bez konia, to jak chart bez ogona. Nie prawdaż?

— A zapomniał Pan tego kusego, co mieliśmy od Pana Asessora! Co to za pies był Panie! Co to była za bestya, Panie! Jaka rączka, chwacza, zoczna! Ho! ho! Ogon głupstwo, Panie!

— Czy uważasz — rzekł Karol — że nasz Cyryllek, zupełnie jak Tacyt: chwając niby kusego, co słowo to łaje cię na funty!

— Kto? ja Panie? — zawołał Cyryllek. — A niechże mię raptem o tu na tem miejscu siarczysty piorun luśnie, jeżeli mi postać choć w myśli, a cóż na języku!

— Cicho! Cicho! Nie przeklinaj się tak ogromnie Cyrylku, ceruliku! Ot lepiej opatrz nogę Pana Karola. Możeby wypadło na skorym razie krwi upuścić?

— Już to najlepiej byłoby Panie w maju. Ale jak skoro trzeba, to nie ma co. Kto jedzie, to jedzie, jak to mówią. To niechże mi tylko Panowie pozwolą zobaczyć.

I ślaniającym się krokiem zaczął zmierzać do łóżka Karola.

— Ciepło widocznie zły ma wpływ i na nogi naszego cerulika! — rzekł Karol.

W tem z bokówki wyszła śpiesznie

leśniczyna, i odwoławszy mię na stronę, rzekła z cicha: — Niech Pan będzie łaskaw jakimkolwiek sposobem sprzeciwi się swojemu cerulikowi, aby nie puszczał krwi, nim mój nadjedzie z Panem Teodorem. Potrzeba go, czemkolwiek zając tymczasem. Może lubi pograć w marysza, to chociaż jest dziś dzień powszedni, z uwagi jednak na bezpieczeństwo ludzkiego zdrowia, i że człowiek podochocony, chociażby nawet najlepszy miał talent w rękę, nie potrafi go dobrze użyć..... —

— Bądź spokojną, kochana gosposiu! — przerwałem szczerze tknięty jej dobrocią. — Nie jest to żaden cerulik, i nie zasługuje, abyś się nim tak zajmowała. Każemy mu pójść spać, bez ceremonji: a jak się wyczmera, zobaczysz go innym, dobrym, usługowym i całę spokojnym człowiekiem. Pomyłka wasza poszła z jego imienia. Cyrylka wzięliście za cerulika. To nam było powodem do zaśmiania się: i za tym pu-

stym śmiechem, przepraszamy Cię serdecznie, żeśmy was zaraz nie wyprowadzili z błędu.

— O taką rzeczą, raczcie nam Panowie wybaczyć, prostym ludziskom!

— Ale-ż nie zawstydzaj nas już swoją dobrocią, kochana gosposiu! Bo czyż to sposób prosić jeszcze o przebaczenie, kiedy cała wina na naszej stronie!

— Mój Boże! Panowie tacy młodzi, a tak grzeczni i zważający nawet na ludzi biednych. Czy tylko nie u księży Jezuitów w akademji byli Panowie w naukach?

— Ależ, uchowaj Boże! kochana gosposiu! my najszczerzej i od serca mamy to sobie za złe, żeśmy was narazili na pomyłkę.

— Ja-ż to widzę, łaskawy Panie! i dla tego mi się wydało że musi być ani chybi u księży Jezuitów przebywali Panowie na akademji. Och! cóż-bo to byli za ludzie! Jacy kaznodzieje, spowiednicy! A jak dozo-

rowali i dyrygowali młodzież! Wszystkie panięta, co od nich wychodziły, prosto choć zaraz do nieba!

— I oni też sami, kochana gosposiu, wszyscy już popodróżowali do nieba — rzekł Karol.

— Niechże odpoczywają w pokoju wiecznym, Amen! — przydał z westchnieniem Cyryllek, który dowędrowawszy do łóżka i oparłszy się o krawędź, nie śmiał już rozstać się z tą podporą: zdawało się jednak, że z największą uwagą słuchał rozmowy: bo pilnie patrzył nam w oczy i ciągle potakiwał głową.

— Jak to wszyscy? proszę Wielmożnego Pana — odezwała się leśniczyna zbliżając się do Karola — wszyscy ci, Pan mówi, co od nas wyszli do ciepłych krajów, już nie żyją? Czy Pan czytał o tem, broń Boże, w gazetach? czy to tak tylko ze słyszenia?

— Cóż cię to, moja gosposiu, tak bardzo obchodzi?

— O grzech, grzech Panie, pytać jeszcze o to! Takie święte i pokorne osoby! takie przykładne jubileusze! A przytem w zgromadzeniu ich zostaje mój brat przyrodni — Siedmiogrodzki.

— Przypominasz-li sobie — rzekłem do Karola — żeśmy, przeszłego roku, czytali o nim wzmiankę. Były prefekt nowicyatu w Turynie ten *l'abbé de Septville*, którego wymieniano tak zaletnie i nazywano naszym ziomkiem! Pamiętasz jakeśmy łamali sobie głowy: ktoby to był pod tem przetłumaczonym nazwiskiem?

— Co Pan Dobrodziej mówi! Więc on żyje? i jest prefektem nowicyatu?

— Żyje i nie żyje! kochana gosposiu! Leśniczyna patrzyła na mnie tak, jak patrzy prostaczek na kuglarza.

— Żyje jak Jezuita, ale umarł już dla nas, jak Siedmiogrodzki, a dla Ciebie jak brat przyrodni.

— Och! mniejsza, mniejsza o mnie!

— zawołała z jaśniejącą twarzą. — Ale on żyje, mój brat kochany! o dzięki matce boskiej!

I przy tych słowach, upadła na kolana przed wizerunkiem N. Panny Żyrowickiej, wiszącym nad drzwiami do alkierza, w wianeczku z żółtych i różowych nieśmiertelek.

Nie śmieliśmy przemówić do siebie, aby nie przerwać i nie ubliżyć tej świętej chwili. Aleśmy oba uwielbiali w duchu cudowną piękność nauki o społeczności modlitw — i to czyste nie myślące o sobie przywiązanie siostry — i tę pełną pociechy dla wszystkich oddalonych, dla wszystkich żywych-umarłych tułaczów, pamięć serca, co nie rozstaje się nigdy z ich obrazem, chociaż i nie ma nadziei ujrzenia już ich na tym świecie, i modli się codzien za ich dołą, cichą, ukrytą, ale najmiłszą może niebu modlitwą: podobnie jak najwonnejsze kwiaty rosą nieraz i kwitną w ukryciu. Był to dla nas widok niewymownie uroczy, niespodziany i święty.

Och! bo wszędzie, codziennie, na każdym kroku, jak dowolne południki, jak promienie słoneczne, unoszą się nad myślą naszą, trącają w nią niemal dobroczynne skinienia niebieskie. Byleby tylko serce było czystem, dusza uważną, a drobne żądze i nawyki, jak koła parowozu, nie zagłuszały nas w tej podróży życia, swą wrzawą, to niebo zawsze tak blisko nad nami, tak blisko, że dość jest uciszyć się, ukorzyć i nakłonić ucha, a da się nawet usłyszeć szmer skrzydeł anielskich — jak upewniają ci wybrani — co czuli w sercu i oglądali niebo na ziemi.

Myśmy w tej chwili, czuli tylko na oczach jakieś łzy słodkie, nie ciężące ani powiekom ani sercu: i radzibyśmy byli jak najdłużej pozostać w tej sferze ducha, tak mało nam znanej. Łączyliśmy się nawet, mimowolną myślą, do modłów tej biednej kobiety, tak pospolitej niedawno w naszych oczach, a teraz wyższej nad nas cudowną

władzą dobrego przykładu. Naśladowana ta modlitwa, musiała być widzialną mimo naszej wiedzy: bo Cyryllek, który nie spuszczał nas z oczu, jak-by z machinalną jakąś, choć już bezsilną gotowością do zgadywania naszych myśli, dostrzegł żeśmy się modlili: więc i poczytał sobie za obowiązek przypomnieć nam o ziemi.

— Jak było, proszę panów, nieboszczykowi na imię? — rzekł chlipając — abym i ja też wiedział, za kogo mój niegodny pacyerz mam zaofiarować!

Parsknęliśmy śmiechem. Pokusa była nad nasze siły.

— Panowie się śmieją! — przydał zgorszony Cyryllek — a człowiek pyta w dobrej myśli: bo chciałby zrobić intencją.

— O mój szczero-złoty Cyrylku! — rzekł Karol o ile podobna było najciszej — zrobisz najlepszą, najzbawienniejszą intencją, jeżeli się dowiesz do koni, i odpocznieś tam sobie na czystym sianku.

— Ja miał-bym pójść od chorego Pana i sobie spać jak bydlę kto? ja!! Panie! Żeby mnie lepiej dycht na tem miejscu!! —

I nie kończąc nastroił tę minę pół-groźną, pół-pijaną, od której rozśmiać-by się musiał święty.

Na szczęście dały się słyszeć w tej chwili zajeżdżające sanie. Podbiegłem do okna. Modląca się śpiesznie powstała.

Był to nas poczciwy leśniczy z zapowiedzianym Panem Teodorem.

3.

Zawszem znał z najlepszej strony mojego kochanego Karola. Ale nigdy mi się nie ukazał w piękniejszym świetle jego umysł słodki, szlachetny, pełen tej dziwnej mocy nad sobą, która właśnie stanowi znamie ludzi niepospolitych, jak w chwili gdy mu chirurg opatrywał nogę. Kość była w poprzek pękniętą. Zestawienie jej i ujęcie w leszczotki na długi, złotwi proces zrastania się, albo jak mówił Karol, krystallizacyi, były to momenta męczeńskie i bez końca: z tem wszystkiem nie tylko się obeszło bez

jęków, ale nawet bez niecierpliwości. Przeciwnie, chory polecał chirurgowi, aby się nie śpieszył z obwiązywaniem, przydając że gniewa go zawsze, ilekroć widzi krzywo szczepioną i z narością wyrosłą płonkę, chociażby w cudzym ogrodzie: a więc bardziej jeszcze nie mógł-by tego przebaczyć własnej nodze, i nigdy-by zapewne nie potrafił nabrać do niej serca, jak Bajron do swojej.

— Mój drogi Karolu! — wołałem najszczerzej zadziwiony — gdzie i kiedy odbyłeś szkołę cierpień, żeś tak cierpliwy, nadludzko cierpliwy?

— Albo-ż nie wiesz — odpowiedział ściskając mą rękę — żem utracił matkę w pierwszym tygodniu mojego życia! A kto przyszedł na świat sierotą, kto nigdy nie doznał pieśczot macierzyńskich... Ach! jestem pewnym że i ten biedny Maroncelli, co za odjęcie nogi, z uśmiechem ofiarował chirurgowi różę, też był sierotą od niemowlęstwa!

I teraz dopiero łyzy mu w oczach błysnęły. Ale były to łyzy serdecznej, nie fizycznej boleści.

Gdy po zupełnem opatrzeniu nogi chirurg zapowiedział, że najmniej kilka tygodni trzeba się z nią zachować spokojnie, i ani mowy być nie może o przejechaniu do domu, Karol rzekł mi po francuzku: że to go martwi nieskończenie, nie ze względu na przykrość własnego położenia, ale że będzie musiał przyczynić tyle kłopotu tym ludziom tak szlachetnym, a biednym.

— Och! bądź Pan w tej mierze zupełnie spokojnym! — odpowiedział leśniczy. — Kto przebył pół życia w czystym polu, i dotąd jeszcze po całych dniach tulać się musi po lesie: dla tego dom ledwie że jest potrzebnym sprzętem; co do mojej żony i córki, mają one alkierzyk i szpiżarnią w której się ja aż nadto pomieszczę z całym mojem myślistwem: możemy więc swobodnie obywać się bez pierwszej izby. —

Słowa te były powiedziane łamaną żołnierską francuzczyzną, ale z takim dobrem sercem, że nie można było wątpić o ich szczerości.

Uścisnęliśmy z uczuciem rękę zacnego żołnierza, i dziękowaliśmy mu jak najmiej.

Leśniczyna była widocznie ucieszoną i dumną, że mąż jej prowadzi z nami rozmowę w zagranicznym języku: z tem wszystkiem pilnie z naszych ust i oczu dochodziła jej treści. Chirurg skromnie patrzył w ziemię, jak gdyby się lękał, czy nie na karb jego sztuki rozpoczęło się to świętowanie? A pełen podziwienia Cyryllek, nie opuszczając swojego obronnego stanowiska, kłaniał się raz po raz leśniczemu i ruszał ustami, chcąc go zapewne prosić o przebaczenie, że przy pierwszym spotkaniu może mu w czem uchybił.

Do ilu to nieporozumień zawsze i zawsze prowadzi cudzoziemszczyzna! I dla czego też nie chcemy wiedzieć, czy pamiętać, że

w całej z resztą Europie użycie obcej mowy, w przytomności osób, które mogą jej nierozumieć, nie uszło-by całe za dowód dobrego wychowania, ale za śmieszność i gburostwo!

Postrześliśmy się przecież wszyscy trzej na tem, i pośpieszyliśmy zagładzić naszą niewczesną gallomaniją odwołaniem się do gospodyni.

— Mamy już zgodę waszego męża — rzekł Karol —; ale ponieważ on, jak sam wyznaje, także gościem jest w domu, od was więc wprost, kochana gosposiu, będzie zależało: czy pozwolicie mi tu troche u was się odleżeć, czy też mię wyprawicie z lichem stękać i ochać w czyste pole, tam gdzim nabiegł na swoje!

— Wielmożny Pan pożartowuje sobie nad naszą biedotą! To się nie godzi! Ale no! będzie mi jeszcze czasu upomnieć się o swoje! Nie przysunąć-by może lepiej łóżko tu do pieca? Jak? Panie Teodorze? — I czy nie zalać-by dziewanny z lipcem? —

A Jegomość poubieracie troche swoich ruchomości do bokówki, i zabijecie tymczasem drzwi kilimkiem! — Elżbietko! chodź-no tu nam w pomoc, moje dziecię!

Ostatni ten rozkaz podobał się nam najlepiej. Oczekując nim się otworzą drzwi alkierzyka, rzekłem z cicha do Karola: — Potrzeba-ż takiego dziwnego zbiegu! przypomnij sobie, że ci ją nazwał Bethsy, i słuchaj że tak ją nazywa matka!

W tej chwili ukazała się nasza leśniczanka. Wdzięczne dziecię, nie więcej czternastoletnie. Nie spojrzawszy na nikogo z nas, pospieszyła ona do matki, i stanąwszy przy niej, dopiero powiodła do koła nieśmiałym wzrokiem. Nigdy nie doznałem jeszcze miłszego i spokojniejszego wrażenia. Jak gdybym widział przed sobą siostrę, której nie oglądałem od dzieciństwa, i którąbym chciał uścisnąć teraz z całego serca, po tej długiej rozłące. Ten nagły braterski pociąg do nieznanym dziewczynki zadzi-

wiał mię: lecz z drugiej strony, czułem że objawił się on we mnie od razu i w pełni, nie wprowadził mię w żadną niepewność, w niepokój: nie zapowiadał więc dalszych postępów, i nie obowiązywał mię zgoła do szczególnej bacności.

Jakby dla porównania tego mojego wrażenia, spójrzałem na Karola i na chirurga, do którego w tej chwili mówiła coś z poufałym uśmiechem leśniczyna. Pierwszy z nich był tak blady, jakem go dotąd nie widział — być może passował się z dojmującą boleścią — ale usta miał na pół-otwarte i wzrok nieruchomie utkwiony w piękną twarz dziewczynki. Pan Teodor, przeciwnie, zarumieniony aż po uszy nie słyszał, widocznie, ani jednego słowa z szeptów leśniczyny: wznosił raz po raz oczy na Elżbietkę i wnet je opuszczał, jak gdyby nie mógł podnieść tego ciężaru do żądanej wysokości. Dziewczyna zdawała się unikać starannie jego wejrzenia.

Lubo cały ten obraz nie trwał nad chwil kilka, bo Elżbietka, na rozkaz matki, zajęła się wnet zdejmowaniem naczyń z półki i przenoszeniem ich do alkierzyka, z tem wszyskiem żadne z tych różnorodnych spojrzeń i odbić twarzy nie uszło przed moją spokojną uwagą. Byłem rad z serca, że biedny Karol skazany na długie i samotne cierpienie, będzie miał blisko siebie taką ujmującą i niewinną istotę. Znając jego wzniosły i szlachetny sposób myślenia, byłem aż nadto pewnym, że nigdy w niczem nie zapomni się on względem tego miłego dziecka: ale korzystając z codziennego z niem towarzystwa, zbliży je ku sobie i zajmie się chętnie jego umysłowem ukształceniem: a tym sposobem uwdzięczy sobie i osłodzi oczekujące go tęskne życie na tem pustkowiu.

Co do Pana Teodora, utwierdziłem się teraz w mniemaniu, że był on sposobionym przyszłym Elżbietki. Ale ten czterdziesto-

letni rumieniec — myślałem w duchu —
zapowiada Otella!

I mimowolnie przyszło mi do głowy: że
ledwie jest potrzeba prosić go, aby pilnie
odwiedzał i starał się o jak najprędsze wy-
zdrowienie swojego pacyenta.

Nie wydałem się jednak z temi myślami
przed Karolem. Dla cudzych uczuć miałem
zawsze głęboki szacunek. Dotykać tej naj-
droższej własności bliźniego, lub najgrawać
się z niej lekkomyślnie, poczytywałem to od
dzieciństwa, za najwyższą niewzględność —
za świętokradztwo.

Poruczywszy zatem mojego chorego, sta-
raniom gospodarzy i chirurga, odjechałem
dnia tego do domu, dla opatrzenia czempre-
dziej Karola w szczegóły gospodarskie i po-
sługę.

4.

Aegri somnia.

Nazajutr była niedziela. Po nabożeństwie pojechałem do rodziców i spędziłem z nimi dzień cały. Za powrotem zastałem list od Karola, aż na dwóch arkuszach.

— Johnie! przeżyłem-że noc, ale jaką — jak tydzień Danielowy! Za to ile-ż ci mam zwiastować rzeczy, jasnych i poetycznych jak gwiazdy — i jak gwiazdy nie podobnych do ujrzenia w dzień biały. — Naprzykład bowiem — jak nam cedził niegdyś nasz *W. alias* dwudziesta piąta litera alfabetu — naprzykład bowiem, z czego też, jak

Pan myślisz, życie ludzkie się składa? —
 «Z biedy mocy ... Bobodzieju
 homeopatycznie podsłodzonej.»
 Bardzo przepraszam! Gdy w ogrodzie Ede-
 nowym po raz pierwszy zakwitło życie, je-
 szcze nie było ani biedy, ani homeopaty.
 Budżet życia ludzkiego, np. życia Acana do-
 brodzieja, który szczęśliwie nam liczysz rok
 30 wieku swojego, składa się z 315,000,000
 odetchnień, czyli zaczerpnień powietrza usta-
 mi, przejść onego-ż powietrza przez wie-
 rzeje płuc, i powrotu do kolumny atmosferycznej,
 ostatecznie i należycie dokonanych.
 Rachunek jak najprostszy i obejdzie się bez
 łaski binomów. Oddychamy, mój Panie,
 w stanie normalnym, *plus minus* raz we trzy
 sekundy, czyli około dwudziestu razy na mi-
 nutę. Pomnożywszy zatem tę ilość, przez
 minuty, godziny i dni roku, wypada że stu-
 letni gość ziemi nie więcej razy odetchnął
 w całym swym życiu, nad tysiąc millionów!
 I cóż to za stosunek, proszę, do gwiazd na

niebie, albo choć wręście do długu szlache-
tnej starej Anglii! Warto-ż było trakto-
wać uniwersytet, stawać do examinu na losy,
a potem w czystym polu łamać nogę — któ-
ra, że ci się dla ulgi zwierzę — niepoczci-
wie mi boli. Czy w kości, czy w szpiku
doskwiera mi ten biegający ogień, który P.
Teodor, przez łaskę swoją, nazywać mi
kaze tylko strzykaniem: dość że to strzy-
kanie, *corpo di bacco*, nie dało mi dotąd
ani zmrużyć oka, i niegodziwe, naszkico-
wało na mojem czole nie jedną już może
parę przedwczesnych zmarszczek. A w ca-
łej parafji, powiedzą zaraz że to od litera-
tury!!

Ale pałasz już chęcią dowiedzenia się:
z kąd i jakim sposobem przyszło mi na myśl
zostać koniecznie Keplerem? Czemu nie
Bajronem nie Göthem, nie Panem Alexan-
drem Humboldtem? — Dziwnie niewyroz-
miałe pytanie, chociaż chęć przytem mogła
być najniewinniejsza! Bo własnego Bajrona

już mamy — i zaprawdę powiadam Panu, ten jest — był przynajmniej — większym od Bajrona! To raz — Göthemu od urodzenia aż do wydania dyplomu na godność tajnego radcy stanu, nigdy nie zaszczylił nawet serdeczny palec: puls bił mu przez całe życie po siedmdziesiąt razy na minutę bez najmniejszej pomyłki: a cyrkiel wyjęto mu z ręki po śmierci, ledwie za pomocą instrumentu; owoż, mój Panie, trzy dobre przyczyny, dla których nigdy nie mógłbym mieć przyjemności (jeżeli była w tem jaka?) na wszystko w świecie patrzeć ze stanowiska sztuki, i podpisywać się *von Göthe!* — Co do Pana Alexandra Humboldta, który zna cały kosmos jak własną kieszeń, i opisuje go w tej chwili, i mógł-by dziś bez najmniejszego przygotowania zostać planetą pierwszego rzędu, mamutem, chameleonem, salamandrą, rybą, albo księżną kanclerzyną M.tt.nich — smutno mi jest, że to tylko mogę ci złożyć na moje usprawiedliwienie,

ale-ż nieśmiertelny Baron, jak sam zeznaje, nic i nigdy — nigdy i nic nie kochał prócz nauki. Pod takim zaś warunkiem, nie zgodziłbym się, kochany Johnie, nie tylko być Humboldtem, ale ani nawet — tak jest, ani nawet Heglem, który w tym, momencie dowodzi aniołom, że są oni daleko biedniej stworzonymi niż ludzie — a bez porównania mniej filozoficznie, niż Niemcy! —

Po tem krótkim, ale sumiennem objaśnieniu się, odsłonię ci już, jaką drogą przyszedłem do otrzymania znakomitej mojej formuły, że rocznie oddychamy równo 10 millionów razy, za odcięciem niejakiej-ś liczby godzin, minut i sekund, na rzecz bojaźni, obłudy, pochlebstwa, rozmaitych ustaw towarzyskich, i tych przypadków życia, w których radzi roztropność, krócej lub dłużej, stosownie do różnicy stopni szerokości jeograficznej, zachować się spokojnie i z przytajonym oddechem. Rzecz tak się miała. Gdyś odjechał szczęśliwie, zostawi-

wszy mię na puszczy, i gdy się wszystko uspało i ucichło, prócz mojej nogi i starego ściennego zegaru, tam i sam przechadzającego się ze szczęką i skrzypem, jak wojskowa straż po śniegu, przyszło mi na myśl: gdzie się teraz obraca, i ile też kroków uszedł sobie dotąd, od chwili wyroku, Ży d wie czny?*) Spodziewam się, nie zaprzeczysz, że był to pomysł co się nazywa, genialny, i mógł się zrodzić tylko na puszczy, pod wpływem tego tajemniczego głosu *la voix de la solitude*, z którym się naradzali niegdyś Numa Pompiliusz, Mahomet, Schwebdenborg *e tutti quanti!* — Ale na cóż się przyda i komu — pomyśliłem — chociażbym i obliczył całą drogę tego nieszczęśliwego tułacza? On sam zapewne liczy najpilniej wszystkie swe kroki i łzy i westchnienia! Całe to jego bogactwo, cała pociecha,

*) Jak na to-ż, i Hrabia M. Borch w tym właśnie czasie spotykał po kilkakrotnie złowrózłego Aswera! (6 i 7 zeszyty Ondyny na rok 1844.)

a może nawet i duma! Bo tak, i nędza ma swoje dumę! — Przedziwnie *Soulié* pojął szatana, gdy mówi, że nie chce on ukorzyć się przed Panem, z obawy aby mu nie przebaczył. I co Acan myślisz, djabeł ma rację. Bo rzecz oczywista, że przyjąwszy amnestyą, musiałoby wszystko pójść za nic, co się przecierpiało. Raczej więc siedzieć w piekle, niż zapomnieć i podarować taką summę cierpień! Jest to rys czystej krwi szlacheckiej i lepiej maluje szatana, niż wszystkie akta i dokumenta, zaczęwszy od wieków średnich, aż do kancelaryi naszego grodu Szawelskiego, która doprowadziła aż do ostatnich czasów, i zapieczętowała indagacye ściągane z djabłów i czarodziejów. Jest to właśnie zrujnowana duma w całym swym obdartym majestacie, i przytem z nieodstępnyim swym *curtum visum!* Bo niech to będzie powiedzianem bez czyjejkolwiek urazy, ale djabeł, pomimo eklektycznych wiadomości, i wielkiej prakty-

ki, i dziwnie systematycznej wprawy w platanu złego, w gruncie jednak bliżej że jest głupi. Nie więc dziwnego, że ostatnią razą, traktował go u nas, tak bez ogrodki, Pater Szczurowski! — Ale jaki-ż to ma związek — spytasz — ze znamienitą formułą oddychania, którąś mi już, spodziewam się, podarował? — Och! miły mój Panie! gdzie-ż serce, gdzie litość pytać tak człowieka chorego! Przebaczam ci jednak podobne pytanie z uwagi, że w rzeczy samej nie najpilniej mi było do księdza Szczurowskiego. Co do samej formuły, to jakem miał czas zastanowić się potem nieco uważniej nad moim świetnym pomysłem, stręczyłbym ją z wolnej ręki do psychologji, a nawet i do medycyny. Oddech zda mi się daleko lepszą i pewniejszą skalą od pulsu. Rozkosz i boleść wpływają zapewne zawsze na odmianę uderzeń pulsu, ale nie tak widocznie i bezpośrednio jak na oddychanie. Nie jedno nagłe bolesne lub miłe wraże-

nie, przemija prędej nim krew zdoła obiedz swoją okrężną drogę: a wtedy drgania, a raczej fale tętna, zlewają się z sobą w sposób niepodobny do odróżnienia: puls więc nie może być ani naszych własnych, ani cudzych uczuć dobrym miarostkazem. Przeciwnie oddychanie, lubo od pulsu powolniejsze, (stosunek między niemi takż jest prawie, jak między kołataniem kieszonkowego i oscyllacyami ściennego zegaru: — teraz przecie pojmujesz, w jaki sposób stary tutejszy zegar ojcem mojej teoryi?) oddychanie, powiadam Panu, czulszem jest nierównie na każde fizyczne i umysłowe wstrząśnienie. Boleść fizyczna, jak przynajmniej mam w tej chwili na sobie dówód, opóźnia nam oddech — do tego stopnia, że mógłbym ci wyliczyć, ile razy na jedno odetchnienie zaboli mi noga i ból ten odezwie się w duszy: przeciwnie każde nagłe wstrząśnienie umysłowe podnosi i przyspiesza proces oddychania. Też same

dwa przeciwne skutki wywiera na nas chłód i ciepło, tak atmosferyczne, jako też i w przenośnem znaczeniu. Pierwszy z nich jest ujemnym, drugi dodatnim działaczem. Na przykład bowiem, mróz od 30° Reaumura, febra w swoich prolegomenach, skąpstwo, bojaźń, dyplomatyka, sceptycyzm, nędzna poezya, wisth, starość, metafizyka itd. oczywiście tak utrudniają oddech, że go zbliżają jakby do peryodycznego poziewania: — gorączka, miłość, nadzieja, wino, Konrad Wallenrod, Dziady, Jaraon, dobra porosza (z wyjątkiem wczorajszej) parowa jazda, Mazur Chopina itd. itd. działają na oddech tak żywo, że aby tylko skrzydła, toby się i poleciało. Inne przykłady, wyjątki i zarzuty grożące mojej teorii zostawiam tym, którzy ją będą rozwijali. Że to jest wszakże idea najwyższego znaczenia w psychologii, zwiastująca dla niej zupełnie nowe losy, i wywracająca z gruntu wszystkie hipotezy z takim mozołem nagroma-

dzone przez Niemców o duchu, duszy, psychicznej jaźni itd. nie pewniejszego!

Ale, ale, już nie pamiętam, gdzie to czytał, przed kilką dniami, że i nasz D^r. Cieszkowski zasadza nową teorią na duchu, (dech) co nie jest ani *Geist*, ani *spiritus* ani *esprit* ani *psyche*, ale *pneuma* albo bliżej jeszcze hebrajski *ruah*. Zmiluj się dostań mi jakkolwiek, i przyszliz tę nową rozpacz Niemców.

I nie dziwna-ż to jeszcze? Nowa filozoficzna idea-matka objawiła się Cieszkowskiemu podobno na jednej z lagun Wenecyi: jam wpadł na moją znamienitą formułę w litewskiej chatce na puszczy. Co, jeźliby ten unikniony za dni naszych Żyd wieczny, miał mieć jeszcze dodaną sobie za karę funkcją do natchnień i sterowania tego filozoficznego ducha ludzkości, co też, bez żadnego pewnego celu, zdaje się biegać w kółko po świecie? — Jeźliby tak było, to wzięwszy pod uwagę odległość z We-

necyi do naszej gubernji, i tę okoliczność, że Żyd wieczny, mocen jest dla wspomnień i interesów familijnych, zbaczać w swoim pochodzie, jak np. do Druskienik: dałoby się widzieć, dlaczego moja świetna formuła oddychania, przeznaczona do uzupełnienia sławiańskiej filozofji czynu, i objaśnienia teoryi pneumatu i ruahu, aż teraz ledwie zdążyła na Litwę. — Rozumie Pan? — jak mawiał nasz autor największego słownika w świecie.

5.

Dalszy ciąg listu.

«Biorąc nowy arkusz, na podziękowanie Ci ześ taki kochany i pomyślał zaraz o opatrzeniu mię w papier, zapiszę Ci cały ten arkusz tkliwą, prostą, najwdzięczniejszą, najniespodzianszą poezją. Tylko-ż się nie lękaj — nie moją własną. Wiem dobrze o twojem kalectwie, że nie masz jakoś ucha do moich wierszy. Pochodzi to w tobie z niemożności skupienia i przydłuższego zatrzymania admiracyi. W rzeczy samej tak być musi: bom uważał że nawet najpowszechniej uznanych

piękności nie możesz podziwiać długo, i żeś laskaw tylko czasem na treściwe obrazy i wyrażenia poetyckie. Jakkolwiek trudno jest mieć do czynienia z takim excentrycznym smakiem, przez wdzięczność wszakże za papier, i za to żeś mi nadesłał moją tekę z wyciągami poezyi, których ile sobie przypominam raz nawet byłeś ciekawym, wypiszę Ci z niej troche różnych wierszy, tak jak je teraz sobie przeglądam i odczytuję, to jest bez żadnego porządku. Ale śliczny ze mnie właściciel! Wszakże-m to nawet już pozapominał, co tu i do kogo należy w tym moim zbiorze? Naprzykład te wiersze:

« Bieży po niebie świecąca gwiazda,
« Bieży za wodzem gromadna jazda. »¹⁾

Zda mi się że są Zaleskiego i o Attyli. Nagłość bicza-bożego wydana prze-

1) Str. 65.

dziwnie. Ale porównanie jak dla Attylli
zbyt już piękne.

« Śpiewaj skowronku, niebieski dzwonku,
« Ku górze się podbijając, wiosnę wcześniej
ogłaszając ;
« Małe dziecięcki, ziemskie kwiateczki
« Śpiewajcie ! » —¹⁾

Pocziwa ta staroświeczczyna, sam nie
wiem, Zimorowicza? czy kochanej Družba-
ckiej?

« Miał w sobie dwie przeciwne siły, a obie
wielkie były
« — Lękająca siła, śmiercią mu groziła
« Ale miłość zwyciężyła. »²⁾

To oczywiście poezya z Fryburga. Ry-
my niedaleko szukane jak zwykle w Cho-
wannie. Ale jest idea filozoficzna.

« Łask twych rzeki nie ustały
« Przeszły wieki a tyś cały. »³⁾

1) 66.

2) 107.

3) 407.

Jakże to ładnie spoetyzowane przysłowie: Więcej Bóg ma, niżeli rozdał!

«Królu bolów!»¹⁾

Wzniosłe, pełne rzewności i najwłaściwsze słowa o umierającym Zbawcy Świata. Podpisać-by je pod każdym krucyfiksem.

W tym samym wierszu, mówiąc o poddaniu się Boga-człowieka biednym sądom ludzkim, poeta szczęśliwie uosabia boską spokojność Zbawiciela:

«Stała prawda niestrwożona przed (sędziami) potwarzona.»²⁾

Odzywa się potem do krzyżowego drzewa aby na widok Twórcy ożyło, zazieleniało, i wzbronilo się być narzędziem męki:

«Skłoń gałązki drzewo święte!»³⁾

Dalej obraz cierpień i uragań Zbawiciela,

1) 153.

2) 111.

3) 120.

złożony z samych słów pisma, tak prostych
i tak tkliwych:

« Z ostrego ciernia koronę uwili
« Naszemu Panu na głowę wtłoczyli,
« Naśmiewając się przed nim poklękali,
« Królem go zwali. »¹⁾

I poeta woła z żalem:

« Długo boska wszechmocność złym po
woli była! »²⁾

Nikt z noswszych naszych pisarzy, nie
używał wdzięczniej i wspanialej świętej pro-
stoty pisma, i nikt nam nie oszczędził tylu
szlachetnych wyrażen staroświeckich, jak
Woronicz. On to zapewne ułożył, lub za-
chowwał nam tę piękną modlitwę do Maryi:

« Panno od wieków przejrzana,³⁾
« Pan z Tobą, Ciebie przed czasy wie-
cznemi

1) 118.

2) 131.

3) 11.

«Przeznaczył sobie przybytkiem na ziemi,

«Skąd Cię do nieba przeniósł nad obłoki

«Na tron wysoki ¹⁾

«Mieniać imię Ewy prawe

«Zdarz nam pokoje łaskawe ²⁾

«Szczęśliwe (z grzechów) powstanie,

«Twojej łaski pociągnięcie, ³⁾

.....

«Rozwiąż związki zadłużonym,

«Przynies światłość zaślepionym :

«Odprosiwszy nasze winy

«Uczyni z grzesznych Boże syny. » ⁴⁾

Albo jak malowniczym jest ten święty obraz:

«W słoneczną szatę przybrana,

«Korona z gwiazd haftowana,

«Księżyc też ogniste rogi

«Sklonił pod twe święte nogi. » ⁵⁾

Dalej mówi się o opiece Matki Boskiej:

«Niech na morzu huczne wały

1) 14.

2) 13.

3) 17.

4) 13.

5) 312.

« Będą kogo zalewały : ¹⁾
 « Gdzie nie jeden głowę skłoni
 « Od nieprzyjacielskiej broni ;
 « Gdy Twej opiece podany
 « Zdrowo będzie zachowany ! » ²⁾

I pobożny *sodalis* przydaje :

« Nie mam za człowieka,
 « Kto się nie ucieka,
 « Matko Boża! do Ciebie ! » ³⁾

Ostatnie wiersze pochodzą oczywiście z dawnych czasów, i musiały być pisane z półdobytą szablą.

Podoba się mi też bardzo ta odezwa do ś. Józefa :

« O ojczy, święty, cnót i lat pełny
 « Bądź mi Patronem, boski piastunie ! » ⁴⁾

Kiedym się już zatrzymał na pobożnej części moich wypisów, i tyle ci z nich na-

1) 312.

2) 313.

3) 324.

4) 326.

przytaczał wierszy, to posłuchaj jeszcze następnych o ś. Ignacym Lojoli:

« Apostolskiemi zmorzony pracami,
 « Leżysz na marach Ignacy, gwiazdami
 « Z nieba okryty: toć niebo rokuje
 « Że i twe syny za gwiazdy rachuje. »¹⁾

I gdzież są teraz te ostatnie gwiazdy!
 Póki ich było pełno po wszystkich stronach
 nieba, i wywierały swe tajemne wpływy, i
 nawet dla wielu krajów miały prawdziwie
 niefortunne aspekta, kłaniano się im
 z uszanowaniem i bojaźnią: a teraz, gdy jak
 mówi dalej mój rękopis:

« jak liść zielony....
 « Od rodzajnego drzewa precz odcięty
 « Który na ziemię padłszy ni zacz już nie
 stoi,
 « Tylko się jego szumu daremnie zwierz
 boi »²⁾

teraz tyle o nich rozpraw i wrzawy!

1) 341.

2) 368.

Wszystko, mój kochany, próżność i
udręczenie ducha! I kwiecista battologia
francuzka, i angielska dyplomatyka, i nawet
niemiecka filozofia!

A lata lecą:

« By to okręt rozpędzony

« By to piorun wypalony. »¹⁾

« Orzeł młody, widząc gęsi trzode,

« Mając do lotu pierwszą pogodę

« Ej! jak bystremi obroty

« Gęgające pędzi roty!

« Przecię nasze dni niestety!

« Bystrzej ulatują. »²⁾

« Cudna naszych dni fonata,

« Codzień grają dni i lata

« Gonionego! »³⁾

« Ledwie rzucamy piastuny

« Aż już nam ścielą całuny. »⁴⁾

1) 515.

2) 516.

3) 516.

4) 517.

- « Długo jelen wiatronogi
 « Piętrzy w twarde sęki rogi
 « Leśni nestor. » ¹⁾
 « Ptastwo im zaciejsze będzie,
 « Nigdy nizko nie usiedzie.
 « Lecz na długowiecznych drzewach
 « Nie w chrościnach, ostrokrzewach,
 « Gniazdo kładzie.
 « Orłowe się gniazdo przyda
 « Dla potomka niebowida.
 « Ale chore na źrenice
 « Gdzieś pod strzechą swe ciemnice
 « Sowy mają.
 « Głupi wróbel pod ryną, gdzie ciecze
 « Na swe gniazdo cudze piórka wlecze :
 « Tak i ludzie więc światowi,
 « Pod ryną żyć są gotowi :
 « Przy upływających rzekach,
 « Przy obłudnych pieszczot mlekach,
 « Serce gnieźdzą.
 « Bądź-że serce w gnieździe gospodarzem,
 « Tu na świecie tylko marynarzem,

1) 518.

« Który choć stanie przy brzegu
 « Przecie myśli o dalszym biegu ;
 « Myśl mu z domu nie wynidzie
 « Choć daleko po bałtydzie

« Styrem orze.

« Tak doczesne niech ci roztargnienie
 « Nie przeszkadza robić na zbawienie :
 « Lecz i przez te nawalności
 « Żegluj do świętej wieczności :
 « Nigdy myśli nie spuść z nieba
 « Kędy koniecznie potrzeba
 « Żyć na wieki. »¹⁾

— To kantyczki! — powiesz mi marszcząc się potężnie, bo jak na toż, sam nie wiesz dla czego? — Tak, kantyczki, pieśni biednego ludu! — Gdybym cię jednak zapytał: jakiego wyznania, że nie wiem już jakiego wydania są te pieśni? wprawił-bym cię może w niepospolitą perplexyą. Ach! tak, mój serdeczny, te

1) Str. 520—522. — Wilno 1831 r.

starożytne rzewne pieśni, tułające się po biednych chatkach, pełne szczerej wiary, pobożności, i często tak wzniosłe w swojej prostocie, one to właśnie stoją na straży — a jednak jak-że to je znamy i cenić umiemy! Znamy ledwie z imienia i to jedynie ze śmiesznej strony, a cenimy tak mało, że nie pomyślano nawet dotąd o starannem, poprawnem i przystępnem wydaniu tego skarbu biednego ludu. Rzecz dziwna, trzykroć, stokroć dziwna! Że też żaden z naszych literatów nie ocenił korzyści i zasługi podobnego trudu, żaden z naszych chrześcijańskich księgarzy nie przejrzał przynajmniej na ponętę niemylnego odbytu tej książki. A to patrz jak ją Z y m e l e i M a n e s y drukują :

« Janie Regisie Franciszkiego nieba. »¹⁾

« Gdzie występują złoty Febus z morcza

« Twoja nie cześć sływie....

1) 350.

« Cześć Imineiowi. » —¹⁾

« Miła ochłodu do, zięcna pagodo »²⁾

« Gdzie Cesarz Zulusz »³⁾

« Ma szafarny i dyptany na ten jad Matka
Boża »

« Ty Słomie i ty Rzymie. »⁴⁾

I nie są to jeszcze najpotworniejsze omyłki. Niektóre tak są dziwne, przypadek, zdałoby się, dopomagał nieumiejętności tak dyplomatycznie, że nie mając pod ręką dawniejszych wydań, w żaden sposób nie podobna dojść sensu. Wypisałbym Ci ćmę takich hieroglifów. Ale oto nadeszła leśniczyna, i prosi mię: « o pozwolenie świętych pieśni, jeźlim już dokończył nabożeństwa, i książka nie jest mi potrzebna. Zawstydziła mię najniewinniej, ale ledwie, że nie słusznie. Bo do dzisiejszej bezsen-

1) 378.

2) 406.

3) 442.

4) 514.

nej nocy, bardzo-żem to znał te święte
pieśni, ja który wam te strzeliste robię
zarzuty? — Z pokorą, złożyłem i oddałem
książkę.

Bethsy z ojcem pojechała do kościoła.

6.

List drugi Karola.

— «Symon mówi mi, że dziś zapewne mnie nie odwiedzisz, że cię zbudzono jakimś pilnym widać listem od rodziców, i żeś natychmiast wyjechał znowu do Tolina. Cemuż przynajmniej nie kazałeś mi powiedzieć, że nie będziesz tu dzisiaj, jeżeli już nie stało cię na bilecik. Ale tem lepiej. Bo wiesz wszakże, że ja mam sposób, którego już podobno nie posiada nawet żaden ze wschodnich siedmiu magów, — sposób nastrojenia każdej rzeczy na tem lepiej!

Wynaleziony w Warszawie Akordometr
niczem względem tego mojego sposobu.
Siadam tedy i piszę ci znowu ogromną epi-
stolę, ale co gorzej dla ciebie, (gdyż mój
przepis na tem lepiej dla mnie jednego
tylko służy) przygotuj się raz jeszcze na
stare wiersze. Bo znowu-m nie spał, czyli
jeszcze-m ani krzty nie spał od czasu, jakés
mnie zostawił oprawionym w leszczotki. Do
czego to dalej mię doprowadzi, jeżeli potrwa
bezsenność! Lękam się bardzo, abym nie
został poetą, i to nie inaczej tylko wielkim.
Wszystko tak dziwnie jakós usposabia mię
do tej wokacyi. Słuch wewnętrzny zao-
strzył się wemnie do tyła, że słyszę już
głós pustyni: chmury przeszłości
snują się przedemną widomie, sam nawet
dzierżawny dziś duch postępu, *in pro-*
pria persona, w czerwonym fraku, w żół-
tych rękawiczkach, z pstrokatą feską na głó-
wie i z pachitosem w zębach, objawił się
mi przeszłej nocy, ale zastawszy mię nad

kantyczkami, kiwnął tylko głową, rzekł mi: «zmurszały człowieku!» — i zniknął.

Śmieszna rzecz! Ze też zaraz przezwiska! Za co, pytam, koniecznie nazywać człowieka zmurszałym, dla tego tylko, że siedzi sobie spokojnie i czyta stare rymy?

— Możesz je czytać! Czemu-ż? Zwłaszcza kiedy ci się nie śpi! Ale na co je spisywać, na co tem raczyć innych? —

Za pozwoleniem, czy to Pan mi odpowiesz w ten sposób, czy duch postępu? — Ale zda mi się że nie ten ostatni. Bo ile przynajmniej wnosić można z jego dyatryb, piorunowanych z poznania, nie zwykł on być dotyla wyrozumiałym, aby miał wchodzić zbliżona w cudze położenie. Podobnie jak głośny niegdyś w Litwie ze swojego lakonizmu, Kartuzki przeor Oskierko, któremu zwykle zarzucano, że nie kładnie nigdy w listach słowa (*verbum*), odpowiada on wręcz i otwarcie: «albo cyt, albo *mit*, *Frater!* albo tak! albo-ś ż ak! albo więc tabaczki!»

A więc rzecz oczywista, że to ty, mój Johnie, a nie kto inny, wyrażasz mi swoje podziwienie, i że tak rzekę, niezadowolenie.

Jeżeli tak, to przedewszystkiem, my dear Sir, poczytaj-że trochę moich starych rymów. Bo jak dla ciebie, dobrym mi jest, i nawet wyśmienitym, ten syllogizm domowego wyroku: że com ja mógł przepisać, to jużci też Pan możesz przeczytać.

I tak,

*

Ztąd rymów moich niech początek będzie,
By chrześcijany Bóg podwyższał wszędzie,
Jednoczył serca, dał siły i radę,
Na Bissurmów zawziętą gromadę,
Której i w ten rok hańbę niebo głosi:
Do czasu, mówią, dzbanek wodę nosi.

*

Dla małych prywat gniewno o te czasy,
Chodzą o małą rzecz, niby za pasy,
Ci co fortuna słabo o nich radzi:
Głodnych, jak mówią, i mucha powadzi.

*

Obszerna mowa czas darmo zabiera,
 Ten z tym, ten z owym o dziwy się spiera :
 Lecz cóż nadadzą te słowa płynące ?
 Plewy to widzę ziarna nie mające.

*

Coś się widzimy, alic w małej dobie,
 Śmierć nam gospodę zapisuje w grobie,
 Takeśmy trwali, ni przy niepogodzie
 Bańka na wodzie.

*

Stronisz od prace a chcesz być bogatym,
 Wierz-że mi iże omylisz się na tem :
 Gdy się nie starasz, to też nic nie będzie,
 Kur nie utyje-ć siedzący na grzędzie.

*

Wierz że to sposób do życia niepewny,
 By cię miał który poratować krewny,
 Chcesz-li się wyjąć z niefortun pośrodku
 Łów sobie kotku.

*

Uklonem zbywasz, gdzie trzeba nagrody,
 Zgin z polityką taką w antypody,
 Za pracą placą dać wotują prawa
 Nie uklonnać to, lecz mieszkowa sprawa.

*

Niech ochmistrzynie wiedzą teraz o tem
 Iż damy puszczać samopas nie potem,
 O szkodę idzie: bowiem to źwierz pusty,
 Nie trzeba-ć kozie wierzać do kapusty.

*

Chcący nie jedna wypaść na mąż ptakiem,
 Już i w zielone gra o się z junakiem,
 Będzie ze wszystkich sił w to potrafiła
 By się przegrała.

*

Chce stara młodej zrównać się urodą,
 Ściera przyprawną kopeć z lica wodą,
 Lecz przecię brudna za starością ową,
 Nie będzie-ć nigdy stara szyba nową.

*

Nie jedna z tem się nie raz słyszeć dała,
 Iże do śmierci za mąż iść nie miała,
 Aż z tego *votum* insza kostka padła,
 Z niechcienia mówią babka prosię zjadła.

*

Lub ochmistrzyni od tego odwodzi,
 By oczu damy nie pasły po młodzi,
 Przecię nic z tego: miła im ta krasa,
 Wiedzie, jak mówią, chęć wilka do lasa.

*

Ta co jej sama w leciech pora służy,
 Odstąpić krewnych ma apetyt duży,
 Poleci za mąż, ni za wiatrem plewa,
 Dojrzały owoc sam się rwie od drzewa.

*

Znać która przecie między ludźmi była,
 Nad domatorkę ma rozrywek siła,
 Smaczniejszy humor w obyczajach chowa
 Tamta jest leśna, ta gruszka sadowa.

*

Zdało-ć się że z niej dobra gospodyni,
 Aż za jej rządem ni w domu ni w skrzyni,
 Nic nie robiwszy, leży, odpoczywa :
 Nie każda-ć, mówią, kotka łowną bywa.

*

Nie dosyć iześ pięknej nabył żony,
 Lecz trzeba by z jej pemoc była strony,
 Do gospodarstwa trzeba niech się ruszy :
 Po pięknym kwiatku nie kiedy nie puszy.

*

Strofujesz żonę aż gęby nie staje,
 A ona przecie też ma obyczaje.
 Więc do rąk na nie każą się mieć nieba :
 Gdyć wiatr nie służy, to do wiosel trzeba.

*

Umarła-ć żona za edyktem nieba,
 Pożalowałszy ta i przestać trzeba :
 Będzie-ć wnet insza, coć mieszek wystruga
 Jedna-ć sroka ze krza, a w kierz druga.

*

Gdy-ć tu odmówią, udaj się inędy
 Jest tego ziela nie omal że wszędy.

*

Jużes nie młoda, czas-by ci statkować,
 Czas kupidyna z serca wygluzować,
 Czas przestać, bo rzecz każda koniec miewa
 I słowik tylko po święty Wit śpiewa.

*

Tu mały z wielkim różne zajścia stroi,
 Będąc tej wiary że się go on boi,
 Sadzi się chcąc go nabawić fasołu
 Lecz nie zje żaba, choć się odmie, wołu.

*

Gdy cię twój sąsiad okiem swem przenosi,
 O sobie więcej rozumiejąc cosi,
 Nie dbaj nań tylko, jak chce z swym nałogiem,
 Wzgarda jest biczem na pysznego srogim.

*
 Ma się zagęścić opryszków tymczasem,
 Lecz nie jednemu wyjdzie to z hałasem :
 Bo tak być musi, zwyczaj to nie dzisi,
 Że kto kradywa, tedy też i wisi.

*
 Szkoda na kredyt służyć komu teraz,
 Omela często, jako i mnie nie raz.
 Stań-że się, radzę, takiego nałogu
 Niechciej dalibóg, wolisz chwała Bogu!

*
 Jak po dług pewny, po kalendarz szlecie
 A ja papieru szukam nań po świecie.

*
 Chcesz kalendarza darmo, sknero srogi,
 Tymbyś jendykiem nie stał się ubogi,
 Lecz ja gdy jeden wiele wam daruję,
 Znacznie szkoduję.

*
 Więc kto z was mieszka od autora blisko,
 Przyszlicie za to omen szczupaczysko.

*
 Ja się bynajmniej za to nie obruszę,
 Gdy jeźli przyszlesz, wziąć zwierzynę muszę,

Ani się też to w rzecz obróci marną,
Bowiem ugonisz mój kalendarz sarną.

*

Chartem zająca, a brytanem wilka,
Sarnę zaś siecią długą na staj kilka,
Lecz mój kalendarz, gdzie między kromami
Złapasz orłami.

— Są to, jak Pan widzisz, czystej krwi koncepta z kalendarza! Przygotowałem cię przecież do tej niespodzianki stosownym wstępem. Stare, bardzo stare koncepta, bo najmniej dwuwieczne. Ale znajdź mi, proszę, w jakimkolwiek z żyjących języków, prócz chińskiego, podobny kalendarz przed dwiestą laty pisany! Jaka czysta, piękna, dawno opracowana, a zda się świeża, niezająca starości mowa! I ten bard nieznamy, w miarę wziętości i sławy swojego kalendarza, zrazu dedykujący go na kredyt, dalej już za szczupaka, indyka, sarnę, nakoniec sięgający i po orły, jak-że podobnym jest z narodowej barwy i humoru do

sławnego śpiewaka z Czarnolesia! — Znalazłem tu w starej księdze, pochodzącej jeszcze od dziada mojego leśniczego, kilkanaście arkuszy tych kalendarzowych piękności, z wielu lat zapewne spisanych. Ale nie mógł dojść ani daty, ani miejsca ich wydania. Zda mi się, że to jest sławny kalendarz Supraślski, którego wydawca uchodził niegdyś za wielkiego statystę i nieprzebranego konceptistę, ale znać wypisał się nakoniec, zostawiwszy swym rymom dwuznaczną po dziś dzień sławę konceptów z kalendarza. Ledwie to setna część, w tem co ci posyłam, ze zbioru jaki mam pod ręką. Reszta nie mniej jest dowcipną: nad dowcip wszelako należało mi mieć na względzie prawidło, którego się trzymał i zacytował Bohomolec w wydaniu fraszek naszego nieśmiertelnego Jana.

Ale dość już o tych rymach. I aż mi żal, że mi się tyle o nich rozpisałem. Bo ty niedobrego może tymczasem uwijasza się w ma-

zurze, i na pytania tych litościwych istot, co wiedząc dobrze jak im litość do twarzy, proszą cię z westchnieniem, abyś powiedział: «czym ja doprawdy i bardzo złamał nogę, czy tylko tak troche?» odpowiadasz z uśmiechem, żeś wprawdzie nadtracił sobie nogę, ale nie szkodliwie, i powinienem uważać się za szczęśliwego, kiedy się mną tak interesuje Pan * i Pani * — ach! i Pani Dobrodzika!! Czemu-ż więc nie dodasz jeszcze, że zazdrościsz mojemu położeniu, że chciałbyś być na mojem miejscu! Śmiało Johnie! Cóż to ci szkodzi! A być grzecznym pięknie jest zawsze! — Ale oto cię chcą do nowej figury. Masz do wyboru między różą i bratkiem. *Fare well!* Radzę ci jednak bratek.»

Zupełnie nie zgadł mój kochany Scarron. Wtedy gdym podług jego horoskopu miał latać w mazurze i znajdować się między różą i bratkiem, leciałem wprawdzie po wybornej sannej drodze, ale bez własnego celu, i niemal bez aktu woli do gubernialnego miasta. W imieniu ojca, miałem się tam podpisać na wysłuchanie jakiegoś wyroku, dotyczącego sprawy sierot, których mój ojciec był opiekunem. Rzecz była święta, przywiązana do dnia i godziny, pośpiech koniecznym: ale to rzecz i pośpiech — sama

zaś podróż mogła być, i była rzeczywiście najniemiłosierniej nudną. Pędząc całą dobę, jak powiada Korzeniowskiego wiarus: na przekładnych i z kłokołem, który mi dzwonił ciągle gdyby na primarya, znajdując na każdej poczcie panów zadumanych i nieco niedomagających, panie pisarzowe dziwnie rozmowne, opowiadające mi o celu podróży wszystkich panów passengerów, którzy świeżo przejechali tym traktem, świadome nawet *de politicis*, i za te wszystkie bezcenne wiadomości, wymagające odemnie tylko szczerego wyznania: po co jadę i kiedy będę wracał? — mimowolnie przypomniałem sobie, jako dręczony niegdys splem Stern stary, wybrał się był do Francyi, pojeździł sobie kilka tygodni rzeźmiennym dyszlem, mistyfikował mistyfikowany — i znacznie mu to pomogło: a literatura angielska chlubi się jego uczucio-
wą podróżą jak nowym rodzajem, i wzorem niby już niedorównanym. Śmieszna

doprawdy sobie ta zamorska duma tych samolubnych, odłużonych i nieużytych wyśpiarzy! Przecież każdy z naszych obywateli nie inaczej jak Stern podróżuje. Nie opisujemy zaś naszych wycieczek po kraju, w ten sposób jak znamienity Dziekan, dla tego że ani na myśl nam nie zbieży szukać ztąd chluby, że się jeździ po sannej lub kołowej drodze, stosownie do pory, że na pasach coś tam się przekąsi, zbeszta żyda, sfuka żebraka, odczyta po szybach, dopisze jeżeli sprzyja chwila — i jedzie się dalej: zatem wieczor — i noc — i dzień drugi!

Poczta podróż wprowadzie bardziej ożywiona, ale za to djable droższa: że zaś rzadko człek miewa coś pilnego, a choćby się żyło lat dwieście, i całe życie jeździło na parowozie, każdy obywatel, Hanc czy La czy de La czy Lach, choćby najszczęśliwiej grał w preferansa, mówiąc z filozofem umrzeć jednak musi — to cóż więc za potrzeba pamiętać i spisywać drobiazgi

tego wędrownego życia! Bo że nie łatwiejszego jak wylewać je na papier, mówię technicznie, i popieram natychmiast rzecz moję dowodem. Oto jest np. najwspanialszy egotyczny opis, w duchu czysto Sternowskim. Ze wszystkimi bombastami i uczuciowościami, jakem raz sobie pił kawę, na ostatniej stacyi pocztowej, wracając już do domu z gubernialnego miasta.

Rozdziałek z podróży uczuciowej*).

— Albo pucu, albo i nie pucu! —
 Nowy przepis robienia reputacyi. —
 Bosko. — Dystrakcyja. — Pan Szafranski. — Płaski żart podróżującego.
 Los atoli chwyta się serio tej okoliczności. — Biedny Florek!

— Cóż za tę nieszczęśliwą kawę? mój kochany pucu! — rzekłem do fagasa.

*) Pomieszczonym był w Zeszyście drugim Athenum na rok 1844.

— Albo pucu albo i nie pucu!

— Jak to! srożysz się doprawdy?

— A doprawdy!

— Albo-ż to tak zła rzecz być sobie nie chudym? Czyli-ż byś wolał, patrz na mnie — być takim cieniutkim scyzorykiem?

— Chi! chi! chi! niech Bóg broni!

— A widzisz! to czego-ż się gniewasz?

— Kiedy-bo człowiekowi świętej cierpliwości nie stanie! I Pan Szafranski nie nazwie inaczej tylko: Słysz ty pucu! I Imość raz wraz pucu! I panowie stołownicy pucu! A panowie oficerowie, a najwięcej te junkery, co to porwą słowo, choć dobrze nie dosłyszają, to nawet wołają czasem: Hej ty mucu! I dalej-że śmiać się potem, i pić wino.

— Cóż to oni sobie najlepszego myślą, nazywając ciebie, jak mówisz: mucu?

— A cóż znów tak dalece mieli-by myśleć, kiedy mówię Panu, że oni nawet piją wino, nic nie myśląc, ot tak gdyby wodę.

— Ale czemuż ty się im kiedy nie ofukniesz na taką zniewagę swojego honoru?

— A bój się Pan Boga! Czy to jest czas człowiekowi w domu myśleć jeszcze być fanaberycznym! Co innego na rynku, a zwłaszcza idąc sobie ubranemu w jakie święto do kościoła! Ale tak na codzień — kiedy sam Pan Szafranski, a nieraz Panie — ale zdaje się ktoś skrzypnął drzwiami.... (z cicha). — Niech Pan będzie łaskaw spojrz tak z boku nieznacznie: kto tam? i mrugnie na mnie, może to Imość? (głośno). — Za kawę Panie 40 groszy. Śmietanka teraz straszennie droga! (cichutko). — A dla mnie, jeżeliby nastąpiła łaska 10 groszy za fatygę, to niech Pan z łaski swojej, połóż tak sobie nieznacznie, niby bawiac się pod serwetę. (głośno). — A za dwie cygarki pół-złotego. Wszystkiego *summarum* czterdzieści groszy a piętnaście groszy... niech Pan będzie łaskaw da rubla, to pani już zliczy, i ja natychmiast przyniosę reszty.

Służąca (uchylając drzwi). — Florek!
do Pani! Tylko zaraz! Ja sama się rozli-
czę i przyjmę tacę.

Florek (ze złością). — Nie potrzeba!
Obejdzie się! Już porachowano!

(Służąca zamyka drzwi, i w tej chwili
daje się słyszeć wołanie z niecierpliwione,
piskliwe, roskazujące, niby tuż za drzwia-
mi, niby gdzieś daleko: Florek! Florek!)

— Oto Panie sęk! — rzecze przestra-
szony Florek. Zdaje się że głos Pani, i
zdaje się że Agatki! Zdaje się że za drzwia-
mi, i zdaje się że aż z kuchni! Jak też Pan
sobie myśli: czy posłuchać mi i pójść? czy
nie posłuchać? Nie ma dnia, żeby mię ona
dwa, trzy razy, nie zwiódła tak samo. Jak
zapiszczy, trzeba przysiądz, że to głos Pani!
A Pani, pomyślałby kto sobie, że nie stąpi
bezemnie, tak ustawnie: Florku a Flor-
ku! Ale cóż? Bywa tak czasem, że czło-
wiek biegnie na łeb, na szyję, przybieżysz:
słucham Pani! a Pani mówi: pójdz

precz mazgaju! Tak tu byłeś potrzebny jak dziura w moście! — To sobie westchniesz tylko w duchu, pomyślisz: Boże mój, Boże! na co mnie stworzyłeś chłopcem Pani Szafrąskiej! — i idziesz ze łzami na oczach do pokojów gościnnych!

(Znowu daje się słyszeć wołanie.)

Florek. O! o! wyraźnie Pani! Niechże Pan będzie łaskaw tylko momenciczek zaczeka! A jak czasem przybieży Agatka, to niech Pan powie: że ja policzę się z samym Florkiem, a nie z tobą ty jakaś! Bo widzi Pan, nawet nie z honorem pańskim zadawać się z taką dziewczyną jak Agatka. To taki djabelny język! I ona, Panie, uciekła od swojej Pani, i pierw służyła w klasztorze: ale jak ją ztamtąd wypędzili (dotąd nie mogłem dobrze dowiedzieć się, za co?) to była potem coś nie długo u Pani Kapitanowej: to ztamtąd przepędził ją znowu sam za listy: a teraz dostała się do

Pani Szafrąskiej; ale i tu nie zagrzeje miejsca. Bo gdyby Pan wszystko to wiedział, co ja wiem o niej, i gdyby nastąpiła łaska pańska dać mi na bóty — to ja bym Panu rozpowiedział o niej tyle, że i piórem tego nie spisać!

(Znowu wołanie.)

— No! idź, idź Florku! potem mi opowiesz! nie ładnie, że tak długo woła cię Pani.

— Dobrze Panie, kiedy Pan tak radzi. Ale to ja robię tylko na rozkaz Pański, dla tego, że jak Pan mówi, to nie ładnie. Bo jak nie posłuchać takiego dobrego Paniska! Pani Szafrąska u mnie, Panie, głupstwo! Słowo za słowo i albo co? Ja dziś u niej sługa, a jutro i nie sługa!

(Wychodzi, a z drugich drzwi wbiega Agatka.)

Agatka (dygając). — Pan Dobrodziej raczył wypalić trzy, czy dwa tylko cygarka? Bo istotnie, że dymu prawie że nie ma. Do-

prawdy, Pan musi posiadać szczególny paniński sposób palenia cygar leciutko, jak to umieją tutejsze damy wyższego tonu. Czy nie ze stolicy raczy czasem Pan Dobrodziej przejeżdżać?

— Nazadawałaś mi tyle pytań, kochana Agatko... —

— Ach! a toż zkađ znowu Panu wiadomo, że takie jest moje imie!

— Otoż i czwarte pytanie! — Co do pierwszego: raczyłem sobie, moja Agatko, wypalić tylko dwa cygara.. —

— To tylko pół-złotego! Ale zkađ, proszę Pana, zostało wielmożnemu Panu wiadomo, jak mi na imie?

— Wiadomość ta nie kosztowała nic, ani nawet półzłotego! udzielił mi jej twój serdeczny przyjaciel Florek.

— O! za cóż mię Pan tak krzywdzi! Florek, proszę Pana, choć bez urazy Pana Boga, stworzenie wprawdzie boskie: mam jednak w Bogu nadzieję, że nie takie są

moje grzechy, aby mi on był przeznaczonym na przyjaciela.

— Widzisz-bo, moja Agatko, z przyjaciółmi na świecie, podobnie się rzecz ma, jak z grzybami w lesie. Są ich różne rodzaje. Twój Florek, naprzykład, opowiedział mi twoje życie.

— A! żeby go djabli wzięli! — z prośbieniem wielmożnego Pana. Co mu do mojego życia! I co może taki okragluteński głupiec wiedzieć o życiu młodej dziewczyny! Ale niech wiem, co, co takiego opowiedział on Panu o mojej reputacji?..

(Spójrzałem w okno. Koń tylko jeden stał uwiązany do dyszla, dwa inne drzymały po obu stronach nad bryczką, poczyliżona nie było: zatem chcąc nie chcąc zapaliłem jeszcze jedno cygaro.)

— Co się tyczy reputacji, moja kochana Agatko! — rzekłem nie troszcząc się co mi też dalej na myśl przyjdzie? — Co się tyczy reputacji, czyliż nie wiesz że ona

się robi z dymu, z takiego samego, jak ten oto dym cygara? —

Agatka patrzyła mi w oczy z grzecznym uśmiechem, widocznie jednak było, że mój nowy przepis robienia reputacyi nie zupełnie trafiał do jej pojęcia.

— Uważam, że mię nie dobrze rozumiesz — przydałem. — Więc ci tę rzecz objaśnię przykładem. W klasztorze alboż ci nie dobrze się działo z początku? Czyliż nie lubiły cię wszystkie siostry i sama Panna Ksieni? Albo naprzykład u Pani Kapitanowej? Jeźliby nie ten list....

— A toż znowu jakie cuda? Czy nie Pan Bosko czasem Pan Dobrodziej? Bo tak nam i mówiono, że temi dniami miał Pan przejeżdżać tędy do Warszawy! Co teraz, to rozumiem dla czego Pan przystosował reputacyą panieńską do dymu!.. —

Niespodziany ten zaszczyt tak mię ucieszył, że nie wiem doprawdy, jak mogłem zapomnieć się aż do tego stopnia, alem się

gnął do sakiewki, i nie myśląc długo ofiarowałem Agatce całego dukata.

(NB. Postanowiłem sobie potem, że dla zrównoważenia tej hojności, przez kilka miesięcy ani szeląga nie dam ubogim.)

— Niech Bóg da Panu wszystko dobre, że używasz sztuk swoich na zapomożenie biednych! — rzekła mi ona, biorąc mój dar z pewnem wahaniem się — choć to dukaty, jak słyszałam, w ręku pańskim znikają za dmuchnieniem... —

— Nie, nie, kochana Agatko! nie jestem takim marnotrawcą. Zaklnę nawet twojego dukata, aby ci został na posag, jeżeli go tylko odłożysz na stronę i nie tkniesz aż do dnia ślubu.

— Jakiż to święty, proszę Pana, czy nie mogłabym wiedzieć, w tym dniu przypadać będzie!

— Ho! ho! jakaś mi filutka! Chciałabys mię podejść i wypadać nieznacznie... Widzisz, że czytam w twoich myślach. Ale

nie z tego. Rozgniewałaś mię, moja Panno! Lękałaś się z mojej ręki uroku!....

To mówiąc, wziąłem leżący na stole kalendarz, i dla wygrania na czasie, zacząłem go pilnie, niby przeglądać.

— Broń mię Boże, abym miała posądzać Pana o złą rękę. To mi i w myśli nie powstało. Bo już-ci też, jak mówił mój ojciec, lepiej jest umieć sobie i pokazywać sztuki niemieckie, choćby nawet wodzić małpy, niż naprzykład z przeproszeniem, kraść. Ale może ja wielmożnemu Panu robię dystrakcyę....

Nie wiem do czego-by mię dalej doprowadziła rola Bosko, gdy wszedł na moje szczęście Pan Szafranski. Oznajmił mi on, że konie są już gotowe: co naturalnie zmierzało między nami do porachunku; a Agatka otrzymała rozkaz odnieść tace.

— Kalendarz już nie jest Panu potrzebny? — spytała ona nieśmiało, zbliżając się do mnie.

— Możesz go wziąć, moja kochana! — odpowiedziałem. — Patrzałem, w którym dniu przypada ś. Floryana? — przydałem z uśmiechem.

Dziewczyna splunęła i wyszła ściskając ramionami.

Pan Szafranski pożegnał mię grzecznym ukłonem i życzeniem szczęśliwej drogi, a Florek nie omieszkał dostawić się mi na wsiadanem.

— Bądź zdrow! — rzekłem mu — roztropny mój Florku, i poproś mię kiedy na swoje wesele — z Agatką! —

Ale konie ruszyły z miejsca, i nie dały mi dostrzedz grymasu, z jakim propozycja moja została przyjęta. Posłuchajcie jednak o dziwactwie losu. — Nie spełna w rok potem, rozmawiając z jednym z moich znajomych, włóczęgą nad włóczęgami, dowiedziałem się od niego, że Agatka uznała za dobre zostać małżonką Florka, chociaż i po-

nieważ (quoique et parceque) miała go za głupca.

Nowożeniec po dawnemu nie przestał być pucem, ale spowaźniał i spaniał niewypowiedzianie: bo macie go już we fraku i przy zegarku z kilką pieczętkami. Poor Yorick!
— Biedny Florek!

Wywiązawszy się kochanemu ojcu z danego mi poruczenia, raniutko nazajutrz pobiegłem do Karola. Zostałem go nad robotą klatki, do której preciki ostrugiwała z kory i podawała mu Elżusia, a matka jej przy stojącym obok stoliku, wojowała tymczasem z P. Teodorem w marysza. Cyryllek w szlafmycy i w białym fartuchu — jak P. Szyttler zaleca — krzątał się koło kominka. Wszyscy tak pilnie byli zatrudnieni, że nie dostrzegli nawet mojego przyjazdu.

— *Bonos dies!* — rzekłem przemykając drzwi z cicha.

— Ha! w jasny dzień mara! — zawołał Karol. — I chce przybrać na siebie postać mojego dobrego niegdyś przyjaciela Johna! A kysz! —

Maryaszowi śpiesznie powstali. Bethsy pierzchnęła do bokówki.

— A dalibóg-że Pan! No, proszę, i jam mógł przesłepić! — wołał radośnie Cyryllek, dopomagając mi do zdjęcia futra.

— Taki to z ciebie dojeżdżacz!

— Z to kucharz, jak gdyby go rodził sam *Chrétien*! Nawet tak wiecznie przesala! — mówił śmiejąc się Karol.

— A wczorajszy-ż, Panie, kwasek z zająca? — odpowiedział Cyryllek, widocznie zasmucony, że go na samym wstępie raniono na reputacyi.

— Zająca przesalać nie miałeś potrzeby, bo on i bez tego słony! — Ale śliczny, kochany z ciebie przyjaciel, mój Johnie! Gdyby żył Panie kochanku, dziś-bym cię mu przedstawił na króla do Mira!

— Nie mogłem, kochany Karolu! Caluteńkie te dwa tygodnie jeździłem, prawowałem się, rękę — przykładalem. —

— Do ręki?

— I to było. Dość zem nie mógł: a więc napróżno-bym ci opisywał jakim chciał, pragnął, pożądał cię odwiedzić; ale jak-że twoja noga?

— Cyt! zmiłuj się, nie przypominaj mi o niej! — rzekł Karol, pogładając z uśmiechem na chirurga. — Nie wolno mi nie tylko jej dotykać, ale nawet ani myśleć że mam ją jeszcze i że może mi ona przydać się z czasem: bo na tem zależy skutek i stoi cały sekret szybkiego zrastania się kości.

— Zapewne, że nie należy jej dotykać: ale żeby też o niej biednej nie pomyśleć czasem, i nie pocieszyć się nadzieją blizkiego wyzdrowienia, to już za srogo. Jestem pewnym, że nie mógł ci tego zalecić kochany twój konsylijarz!

— Gadaj-że z nim, Panie Teodorze! —

rzekł Karol niby zgorszony — on widzę nie wierzy!

— Tak istotnie — odrzekł chirurg — najszcześliwiej jest, kiedy się nie myśli o swojej ranie.

— Ani słowa — odpowiedziałem, szukając ciągle allegoryi w tym aforyzmie — kto może nie myśleć o swojej ranie, temu już w połowie można powinszować wyzdrowienia.

— A on swoje! — odparł Karol z powagą. — Ale-ż są rzeczy nie dające się sondom i skalpelom rozumowania! Są dziwy na ziemi i niebie....

— Niech będą zdrowe! Ale kiedy-ż cię ztąd wzięść mogę? Odpowiedz mi przecie na pytanie: jak twoja noga?

— Znalazła mi się honorowiej, niż myślałem. P. Teodor powiada: że dziś, jutro, mogę już ją odwieźć do domu.

— Prawda-ż to? kochany Panie! — zapytałem chirurga.

— Tak — odpowiedział. — Jak jest teraz równa ranna droga, to niedaleka jazda nie powinna-by uszkodzić. A przytem u siebie zawsze jest dogodniej. —

Mówiąc te słowa, biedny człowiek rumienił się, jękał, miał oczy w ziemię spuszczone: jak gdyby właśnie popełniał kłamstwo.

— Tylko-żeśmy nie skończyli z Elzusią pielgrzymy w Dobromilu — rzekł Karol. — Jak-że z tem będzie? kochany Konsylijarzu!

— E mniejsza z tem! Inną razą... może się jeszcze zdarzy...

— Jak to zdarzy mi się drugą złamać nogę!

— O nie! Nie godzi się tak żartem myśleć, a tem bardziej mówić o nieszczęściu! Bo kto-ż wie w jaką się mówi godzi-nę! — Ale czyja-by to trąbka odzywała się tak blisko? To, zda się, nie Pana Leśniczego. Darują panowie, że wyjdę się roz-śluchać.

— Jak-że się ma kochana nasza gospo-
sia? — rzekłem obracając się do Leśni-
czynej.

— Powiedz, najlepsza, najpobożniejsza
i zawsze najuprzejmiejsza gospo-
sia, której nie wiem czy potrafię kiedykolwiek się od-
wdziżyć! — przydał Karol z uczuciem.

— Och! jak też Panu nie bać się Pana
Boga, że tak w oczy pozwalasz sobie żarto-
wać ze starej! — odpowiedziała dobrodu-
sznie poczciwa kobieta, grożąc palcem: i by
nam zostawić swobodę do pomówienia, wy-
szła do alkierza.

Karol nie mógł dobrać wyrazów na po-
chwale swoich gospodarzy. Mówił mi, że
doznał w tym ubogim domku tylu chwil ta-
kiego cichego, spokojnego, prawdziwego
szczęścia, o jakim nigdy nie miał nawet
pojęcia. Unosił się nadewszystko nad spo-
sobem codziennego pożycia tych biednych
ludzi.

— Miałem czas poznać ich z bliska —

rzekł głosem ożywionym — oswoilem ich z sobą do tyła, że mię uważali za domowego, i pewnie nie mieli żadnej potrzeby ani przyczyny poświęcać coś dla mnie z nawyknień swojego życia: a jednak nigdy nie dostrzegł między niemi żadnej chmury, niezgody, ani nawet tej za nic idącej u biednych ludzi szorstkości postępowania. Harmonija tem cudowniejsza, że ich charakter i wychowanie różnią się od siebie o całe niebo. Żołnierz mój widział półświata, obszedł go z bagnietem, za blaskiem tej czarodziejskiej gwiazdy, co ich trzymała w jakimś wiecznem zaklęciu i wiodła tak spokojnie nad przepaściami, wiele się nauczył, wiele pamięta, i nie utracił dotąd ani żywości umysłu, ani tej barwy Napoleonowskich żołnierzy, praktycznie dobrych, szlachetnych, serdecznych, ożywiających się na samo wspomnienie że czterdzieści wieków patrzy na nich z wierzchołka piramid, ale tak smutnie obojętnych na

głos wiary i prawdy religijne: przeciwnie żona, wychowana w praktykach najściślejszej pobożności, na usługach starej bogatej pani, dla której alfą i omegą byli Jezuici, i dotąd dochowująca dla nich nieograniczone uwielbienie, (jak dała nam tego dowód na wstępie) tak odrębną ma fizyonomiją od swojego męża, jak Sorbona od wielkiej wschodniej Łoży. Mimo to jednak...

— A Bethsy-ż? — przerwałem, chcąc czem prędzej sprawdzić mocne już podejrzenie: czy tylko ten obraz rodziców nie jest zwyczajną zdaleka zasięganą genealogiją, mającą jedynie służyć za przemowę do panegyryku na temat obrany?

— Och! to taki aniołek, tak miły, wdzięczny, kochany, że jeźlibym był młodszyszy o lat kilka lub ona starszą o tyle-ż, nie namyślał-bym się ani chwili. Ludzie i ich zdania ani-by się mi przyśniły!

— Jak skoro rzeczy na takim stopniu — rzekłem z uśmiechem — to mogę cię

uręczyć, że bardzo nie zadługo dała-by się uprzatnąć ta wielka kanoniczna przeszkoda.

— Więc mię nie znasz! — odpowiedział Karol spokojnie — mógłbym się kochać w kobiecie, jeźliby była w tem wola nieba: ale nigdy w dziecinie!

— Ale-ż nic pewniejszego i bliższego, jak że ta ładna dziecina stanie się ładną kobietą!

— Wiem o tem! Zdejm-że mi lat dziecięć i zostaw dzisiejsze myśli, a przyrzekam ci pokochać ją i być szczęśliwym.

— Zmiluj się, nie zapomnij, proszę, żeśmy rówiennicy. Po co znów odwoływać się ciągle do swojego wieku w taki uroczysty sposób, jak gdyby już nad nim spoczywało spełnienie czasu! Wszak Pan Teodor, który cię tak szczerze uwalnia od dalszego czytania pielgrzyma w Dobromiłu, dobrze jest od nas starszym, a przecie-ż raczył obrócić swe oczy na tę biedną dziecinę! Czyli-ś go spytał przynajmniej jaka,

zła czy dobra świeciła godzina w tej chwili, gdy mu się ona spodobała? Bo od tego wszystko będzie musiało zależeć!

— Och! mój drogi! To litość mię bierze, to jakiś gniew serdeczny, ilekroć sobie wspomnę, że on być może jej mężem! Nie uśmiechaj się jednak tak zawczasu, i nie myśl już, że ta moja litość, ten gniew serdeczny, są tylko sobie zwyczajnym pierwszym paroxyzmem utajonej zazdrości.

— Wierzę ci, kochany Karolu, ale ze staremi nominalistami: że samej rzeczy tu niema, jest tylko jej nazwisko, określenie. Bo czem-że jest właściwie zazdrość, dopóki się choduje *in potentia*, jeżeli nie gniewem serdecznym?

— Ale nie bierz mię znów na te żadne pytki i badania. Powiedziałem ci raz, jak człowiek uczciwy, żem nawykł do tego miłego dziewczęcia, i że ją lubię, lecz ztąd jeszcze do miłości jak do Krakowa. Nie dlatego że ona biedna i wychowana na pu-

szczy, a ja coś mam i umiem, ale że jakim ci mówił, nigdy-bym nie mógł zakochać się w kobiecie jej wieku. Z duszy jednak pragnął-bym jej szczęścia, i dla tego tak mię to martwi, że ją sposobią za człowieka być może nie ubogiego i dobrego w sercu, ale pełnego przytem najdziwniejszych przesądów. To coś odeń słyszał niedawno, maluje go jeszcze niedokładnie: bo trudno jest mieć pojęcie, jakich cudactw i guseł gotów ci on jest dowodzić z najlepszą wiarą. Wszędzie i we wszystkim widzi on jakieś tajemnice, dostrzega symbolów, dorozumiewa się jakichś przepowiedni. Może to właśnie dopomogło do podniesienia jego sławy, przynajmniej u tutejszej okolicznej szlachty. Bo ta *gens olim beata*, po stracie swojego przymiotnika, szczególniejszą skłonnością jest do marzeń, i tak gotowa po całych nocach przysłuchiwać się im i wierzyć, jak araby swoim mozammeritom. Z resztą, winienem powiedzieć na jego zaletę, że lubo w swojej sztuce

jest nader biegłym i szczęśliwym empirykiem, ale przytem najostrożniejszym. Jak tylko coś się zdarzy wątpliwego, lub nieznanego mu jeszcze z praktyki, nie bierze się on i nie doświadcza na oślep, ale doradza natychmiast wezwać lekarza. Za to, ilekroć sam podejmuje się leczenia, można niemal z pewnością liczyć na wyzdrowienie. Nie znając łaciny, i poczytując każde jej słowo też za jakiś zaklęty talizman, zna on przecież techniczne nazwiska wszystkich prawie ziół i ingrediencyi lekarskich, ale wymawia te uczone słowa, tak jak je raz na zawsze przeczytał sobie i spamiętał. Poprawiany w tem często od lekarzy i niekiedy od samych chorych, a nie mogąc korzystać z tych popraw, stara się on unikać, o ile podobna, terminów technicznych: lub gdy są nie do uniknienia, wymawia je w ten sposób, jak gdyby chciał i przed sobą i przed słuchaczem ukryć ich prawdziwe brzmienie. Z resztą, wyjmując teorią, w której trzyma się

on z uporną wiarą najdziwaczniejszych marzeń, i wyznaje tylko: Sekreta Alberta w. stuletni kalendarz, klucz prognostykarski, Marcina Zadeka, Nowe Ateny itd. człowiek to w swojej sferze nader pożyteczny. Jest on nawet prawdziwym dobrodziejstwem dla prostego ludu: bo wzbudziwszy ufność ku sobie, potrafił on odwrócić ten lud biedny od szukania rad i pomocy u guślarzy, znawców (znachorów) i czarodziejów, w których dotąd jeszcze obfitują nasze wioski; z drugiej strony przygotowując pospolitsze lekarstwa i sprzedając je podług ich prawdziwej wartości, zastępuje on niedopytane u nas od ludu, uprzywilejowane apteki.

— A więc niech go ścinają i kamieniuja prowizory i farmaceuty: ale ty po co znów masz go odsądzać od takiej ładnej narzeczonej! Któż na świecie bez pewnej dozy przywidzeń i cudactw? Idzie tylko o ich gatunek. A pod tym względem, twój konsylijarz nie

jest bynajmniej złym subjektem, jak na małżonka. Do jego wizyi tem łatwiej nawyknie przyszła dzielniczka losu (jak się wyraził genialny autor życia biednego skowronka), że tyle w nich cudowności i poetycznego żywiołu. A wszystkie kobiety tak lubią marzenia i marzycieli!

— Tak, i marzycieli, jeżeli tylko w kole swych marzeń nie zamieszkali oni zbyt długo, np. lat czterdzieści z czubkiem, jak to ma nasz kochanek. Ale spójrz w okno — zda mi się że on wraca?

— Wracają oba z twoim walecznym gospodarzem. I jak cię kocham, ciągną ni mniej ni więcej tylko ogromnego wilka. To mi przynajmniej polowanie!

— A więc to czwartego już zboja, za mojego tu pobytu, sprząta on z lasu. Bardzo rad, i w dodatku, mogę ci przyrzec z góry walną jakąkolwiek anegdotę o nowozabitym: bo nic miłszego nad sposób, jakim on opowiada swoje myśliwskie wyprawy.

Kłamstwa naszego Cyrylka, obok improwi-
zacyi tego starego bohatera, tak są grube
jak szpagat przy jedwabiu. Najpocieszniej
też jest patrzeć na tę zazdrość i attencyą
z jaką szanowny Cyrylli przysłuchuje się
opowiadaniom mistrza. Jestem pewny, że
kiedyś, z czystym okiem, będzie on je prze-
dawał za swoje.

9.

W rzeczy samej nie pamiętam milej i weselej spędzonego wieczoru. Żołnierz już oswojony z Karolem, i niemal w nim zakochany za podobieństwo humoru, niewyczerpanym był w rozmowie. Zachwycał on nas swą szczerą swobodą, i tym pięknym, zdrowym sądem o rzeczach, szczęśliwym udziałem natury, wzbogaconym doświadczeniem i nie straconym bynajmniej przez terażniejsze samotne życie, tylko, że tak powiem, nieco uoryginalnionym. Nie obeszło się też naturalnie i bez zapowiedzianych od Karola

rapsodów myśliwskich. Ale są rzeczy, których się słucha najprzyjemniej i z nieustającym śmiechem, w zimowy wieczór, przy kominku leśnej chatki: a w opisanu wyglądają one jak ponure sfinksy, przywiezione z krajów dalekich. Nie powtarzając więc wielu pełnych życia i dobrodusznej wesołości opowiadań Leśniczego, przytoczę tu tylko dotąd mi pamiętną, ostatnią naszą rozmowę, nazajutrz, już przy wyborze z gościnnej chatki. Wybór ten z wielu względów był podobnym do wyjazdu syna z domu rodziców. Dobra Leśniczyna krzątała się jak matka koło swojego kochanego Pana Karola: to obwiązywała mu nogę i radziła ją jeszcze i jeszcze otulić na podróż, to poglądała z niespokojnością w okno, jak gdyby chcąc zakląć mroźny wiatr i niepogodę, to prosiła nas o poczekanie nim przeciągnie na dworze zła godzina — a tymczasem swojego pieszczonego pacjenta miała jeszcze napić dziewanną z lipem; to znowu zapytywała u Pana Teodora:

czy rzecz ciepła nie zaszkodzi czasem na zimne powietrze? a więc czy-by nie lepiej było zegrzać piwa z żółtkami i imbierem, a potem odlecić? I razem, wyprawiała męża obejrzeć, czy wygodnie zrobione siedzenie? wysyłała przez Elżbietkę jedną po drugiej poduszkę pod nogi — zalecała Cyryllemu aby nie na saniach ale przysiadł sobie na płozach, dla równowagi, na przypadek, broń Boże, wyrotu: i dla złagodzenia mu perspektywy takiej niewygodnej podróży, częstowała go miodową ratafią, prosząc aby się napił raz i drugi, tak jednak aby się sobie nie zapruszyć. Karol siedział tymczasem obwiązany i rozczulony, jak raz w postaci wyprawianego do szkół synała: i jakby dla uzupełnienia podobieństwa, poglądał żałośnie na Bethsy. Dziewczynka z pełnemi łez oczyma, stała we drzwiach alkierzyka, i zdawała się mieć żal do rodziców, po co go wysyłają tak prędko na tę mękę! Więc ciesząc smutną niebogę, przyrzekał on jej z uśmiechem,

że napisze wkrótce i przyśle jej ślicznych książek. Wyobraźcie sobie np. Rynaldinięgo lub Numę Pompiliusza — i policzcie: ile też to lat będzie, jakęście wyjeżdżali w ten sposób?

Jam tylko jeden był najmniej ożywioną figurą w tym obrazie. Wprawdzie od rana dopomagałem Karolowi, w charakterze pośrednika, do narzucenia upominków kobietom i do rozmaitych handlów z legyonistą, to na dwururną fuzyjkę, to na torbę myśliwską, to na konika — bo o żadnej propozycji, któraby wprost wyglądała jako wynagrodzenie, ani podobna było myśleć — lecz gdy ta moja rola została skończoną, a zaczęły się odbywać pożegnania i zachody wyboru, którym nie przewidywałem rychłego końca, nudziłem się już troche, i raz po raz poglądając w okno z Panem Teodorem, szczerze mu wtórowałem: że już się zupełnie wyjaśniło!

— Ale gdzie-ż tam! — mówiła gospodyni

niemal z gniewem. Bójcie się państwo Boga! Spójrzcie tylko w okno od alkierza! jaka znowu idzie flaga!

— Już-to darujcie Panowie, ale na tych rzeczach niebieskich najlepiej się znać może moja żona! — rzekł Leśniczy tonem obiecującym niezawodnie coś pociesznego. — Zwiedziła ona nie mały kawał świata. Pielgrzymowała nawet do Ziemi Świętej.

— Jakże-ście się z sobą spotkali? kochany gospodarzu! — rzekłem zainteresowany. — Czy nie podczas kampanji Egipskiej?

— At słuchaj go Pan tylko! — odrzekła uśmiechając się i kiwając ręką Leśniczyna.

— W rzeczy samej, jest czego posłuchać i nawet osłupieć! — odpowiedział legjonista, z komicznem westchnieniem. — Czy słyszał kto na świecie, aby wyruszywszy na trzeciej niedzieli postu z domu, można było zdążyć jednemi końmi do Jerozolimy,

jak świt w wielki piątek! To tylko anioł tak nosił Abakuka!

— Cóż-to! Jak-że to? — spytał uśmiechając się Karol.

— A tak, zaczynając od królowego mostu, wciąż prosto i prosto Białowieżską puszcza!

— A potem?

— A potem, obchodziwszy najpobożniej wszystkie stacye, i wysłuchawszy przykładnie rezurekcyi w Jerozolimie, na powrót: ale już morzem, w szukalei, przez pińskie jeziora.

— Ale-ż zmiłuj się, nie bałamuć! Co to jest znowu i o kim?

— Powiadam Panu przecie że o mojej żonie. Jest to właśnie Chadzi-baba, jak muzułmanie mówią o swoich pielgrzymach. Ofiarowała do Palestyny, i jak wiadomą jest światu determinacya kobieca — bądź co bądź, postawiła na swoim.

— Tyle-ś mi razy przyrzekał, kochanku,

że nie będziesz pożartowywał z podobnych rzeczy!...

— To też ani myślę żartować. Opowiadam *serio* jak było. Żona moja, proszę Panów, będąc na usługach u Pani kanclerzynie Szembekowej, i porozumiewszy się z ojcami Jezuitami —

— O! nie, nie, kochanku! — Elżutku! zobacz-no czy nie zeszła która gęś z gniazda? — Jeżeli już potrzeba ci było zacząć o tem, to pozwól, że ja sama dokończę, i nie dam ci, z obrazą boską ująć pamięci dobrej mojej Pani, i świętych osób. Bo było to tak. — Panowie darują, że jako kobieta będąc opowiadała nieskładnie, jednego niedomawiając, drugie powtarzając, jak i nie dziw, po takim długim terminie czasu. — Pani kanclerzyna Szembekowa, u której wychodowałam się od dzieciństwa, święta i bogobojna Pani, w ostatnich latach życia ofiarowała się na pieszą pielgrzymkę do Bożego grobu. Ksiądz Spowiednik i ks. Kaznodzieja,

ludzie wysokiego rozumu, jak to u księży Jezuitów nie bywało inaczej, pochwalając ten święty zamiar, długo przecież przekładali mojej kochanej Pani, że w jej wieku odbyć taką drogę było niepodobna, zwłaszcza pie-szo: i doradzali zamienić ten ślub innemi dobrymi uczynkami. Pobożna moja Pani, chociaż z górą siedmdziesięcioletnia, i bardzo osłabionego wzroku, odpowiadała z pokorą: że na nic już lepszego nie może użyć ostatnich dni i sił swojego życia: tem bardziej że rozpisawszy już swój majątek podług porady świętych ojców i doczekawszy z łaski Boga takiego późnego wieku, jednego już tylko błogosławieństwa pragnąć może, aby była godną ucałować tę ziemię i oddać swojego ducha tam, gdzie Zbawiciel za grzechy świata najświętszem swem życiem nałożył. Dodawała przytem, że od lat kilkunastu, dopóki jeszcze lepszego światła oczom jej Bóg użyczał, wypracowała, podług możności, różne roboty wprost do ołtarza świętego

grobu, które ślubowała zanieść i złożyć własnoręcznie, jeźliby jej Bóg pobłogosławił dosyć i dopełnić tego *votum*. Wreszcie ksiądz Spowiednik i ksiądz Kaznodzieja najlepiej są świadomymi całego jej postanowienia, bo przecież zachęcali ją i wspierali w tem swojemi radami od lat tylu. I nawet, gdy przed pięć laty, czując się ciężko osłabioną, czyniła uroczyste zapis dla *collegium* z dwóch ostatnich wiosek, które sobie zostawiła dożywociem, a zawarowała tylko, że jeźliby ją Bóg podźwignął, Zakon przyjmuje obowiązek podjąć wydatki na podróż jej do świętej ziemi, tedy ksiądz Spowiednik i ksiądz Kaznodzieja nie tylko że jej to najsolenniej zaręczyli imieniem *collegium*, ale nawet obowiązali się łaskawie, za wyraźnem pozwoleniem i potwierdzeniem księdza Rektora, towarzyszyć jej osobiście w tej podróży, jak tylko szczęśliwie doczeka ośmdziesięciu lat wieku. Bo przed tą liczbą lat, ustawy zakonne nie dozwalały ojcom świętym peregry-

nować z kobietami, zwłaszcza w tak daleką drogę, przypadającą pomiędzy niemieckimi i innemi niewiernymi narodami, które nie mają bojaźni boskiej, i nie związane są na sumieniu pogadywać na duchowieństwo. Otóż tedy, nieboszczka doczekawszy lat ośmdziesięciu, właśnie w dzień imienin, kiedy ksiądz Spowiednik z księdzem Kaznodzieją jak zwykle, po skończonem nabożeństwie winszowali ślicznie naszej kochanej Pani, odezwała się ona ze łzami: że przysła nareście pora, Bogu dzięki, i ani chwili nie ma już do stracenia: zatem najpokorniej na dzień jutrzejszy zaprasza się świętym ojcom do pielgrzymki, i oddaje się we wszystkim jako biedna kobieta i domatorka, pod ich przewodnictwo. — Troche niby zadziwili się oni taką wielką pamięcią i determinacją naszej kochanej Pani: ale widząc jej łzy, i szczerą żarliwość, i krótkie już od Boga naznaczone życie, ani myśleli jej doradzać odmiany postanowienia, albo jakiegokolwiek zwłoki. Tyl-

ko ksiądz Spowiednik zabronił jej na sumieniu ani myśleć o pieszej pielgrzymce, okazawszy jak najdowodniej, podług książek i gazet: że za lat trzy nawet nie zdążyli-by do świętej ziemi o kosturze, teraz zwłaszcza, gdy z powodu wojny z Turkami na morzu, wypadnie jechać do koła suchym lądem, dalszą ale za to bezpieczniejszą drogą. Zatem stanęło, żeśmy mieli wyjechać za dwa dni. Konie, pojazdy, kuchnia i wiktuały miały być nasze, a ludzie z kollegium księży Jezuitów, jako bywali już w krajach niewiernych i znajomi drogi. Do towarzystwa i usługi nas dwie tylko wybrała sobie Pani kanclerzyna: swoją nieodstępną Pannę Benignę Zagrajską krajczankę, która była przy niej od lat czterdziestu rezydentką, i mnie. Dniem przed wyjazdem, odbyliśmy rekolekcyę, konferencyą i spowiedź, po której ksiądz Spowiednik przywoławszy mię do zakrystyi, mówił do mnie długo, w sposób budający, i zakończył w taki sens, ile sobie

przypominam: że dwie są drogi jak do nieba, tak i do ziemi świętej — albo biednymi cielesnymi oczyma, które widzą tylko szmatkę obłoków i rozumieją że tu już jest niebo — albo duszą wierzącą i oczyszczoną przez sakrament spowiedzi. Widzisz moje dziecko sama — mówił dalej — że twoja pobożna i świątobliwa Pani tak osłabionych już jest oczu, że tylko samym wzrokiem duchownym może oglądać cuda ziemi pańskiej. Do tego więc nadewszystko, w terażniejszej podróży powinniśmy jej dopomagać. Rozumiesz moje dziecko? —

— Nie, ojcze Dobrodzieju! — odpowiedziałam płacząc i całując jego rękę — nie ze wszystkim! Nie jestem widać godną! — Ha! kiedy tak — odpowiedział jakby namyśliwszy się trochę ksiądz Spowiednik — to posłuchaj-że dziecko moje! Jest to droga daleka. Ponieważ przedsięwzięmy ją dla naszego zbawienia, to nieprzyjaciel duszny codzien i na każdym kroku będzie usiłował

następować nam pokusy, mamieć oczy i zachwiewać naszą wiarę. Najbezpieczniej więc w twoich młodych latach, boś już nie dziecko? jeżeli się nie mylę — przydał nie patrząc na mnie. — Siedmnaście mam lat — odpowiedziałam. — Otoż to właśnie! — mówił dalej — przy twoim niedoświadczonym rozumie, najbezpieczniej będzie, abyś uczyniła teraz, w tej świątyni ślub jaki na całą podróż, który-by był z twojej strony i zasługą i ofiarą, i zasłonił cię skutecznie od wszelkich sidła piekielnych. Oto np. uczyni obietnicę, że w ciągu całej drogi w niczem nie będziesz dawała wiary swoim oczom i uszom. Bo jest to odwieczny fortel szatański, że podróżującym do ziemi świętej przedstawia on rozmaite widzenia, miejsca, osoby i głosy niby znane, dla zbiecia ich z drogi i odprowadzenia od celu świętej podróży. Tym to sposobem, jak wiesz z historyi pisma ś. i biedni żydzi błakali się niegdyś przez lat czterdzieści na puszczy, nie mogąc trafić do

świętej ziemi, aż nakoniec wszyscy nieszczęśliwie powymierali. Otóż postanów sobie i przyrzecz mi teraz, dziecko moje, że jakiegokolwiek omamienia mogły-by ci się przywidzieć: czy to miejsca, czy zwyczaje, czy ubiory, czy twarze i głosy niby znajome, nie tylko że w sercu nie przydasz wiary tym wszystkim widzeniom; ale ani wspomnisz o nich przed Panią i przed nikiem, prócz mnie lub mojego czcigodnego brata księdza Kaznodziei: bo jako człowiek także grzeszny, nie śmiem wymagać wyłącznie twojej ufności, i zostawiam to zupełnie do twojej woli i wyboru. Jeżeli zatem czujesz w sobie dosyć siły do takiego postanowienia, to uczyni je tu w mojej obecności: w przeciwnym razie, bądź śmiałą i otwartą, dziecko moje! Jeszcze jest czas: pomówimy o tem z Panią Kancelryną, i jakoś się to ułoży, że zostaniesz sobie w domu. — Na te ostatnie słowa, ogarnął mię taki żal, i uczułam w sobie moc taką, że powiadam państwu, czyniła-bym bez

wahania i ślub wiecznego milczenia: Pokłękawszy tedy ślubowałam we wszystkim zastosować się do rady księdza Spowiednika: a on mnie przeżegnał i pobłogosławił. Potem już, gdyśmy powróciły zdrowo i szczęśliwie do domu, przyszło nam jakoś raz do zwierzenia się z Panną Zagrajską, i uważcie państwo, że i ona takż sam ślub uczyniła na wyjeździe za radą księdza Kaznodziei. Gdy mi powtórzyła jego słowa, okazało się, że mówił jej prawie toż samo co mnie ksiądz Spowiednik, tylko że zwyczajnie uczeniej, jak do osoby w książkach czytanej i szlachetnego urodzenia. W ciągu całej drogi przecież, tam i na powrót — niech to trochę posłuży przed państwem i na pochwałę kobiet — lubo nieraz okrutnie należałyśmy się obiedwie, nigdy wszakże nie złamałyśmy naszego ślubu, i ani przed Panią, ani przed sobą w poufalej rozmowie, nie wspomniałyśmy o ustawicznie niemal miewanych przewidyzeniach. — Otóż i wszystko, dopra-

wdy! Bo czas już zdjąć z ognia i odlecić piwo.

— O nie! nie! kochana gosposiu! — odpowiedzieliśmy w jeden głos niemal z Karolem. — Rozlać i podać szklanki potrafi i Cyryllek. Czekamy koniecznie opowiadania: jak też wam było w podróży?

— Bywało różnie, jak zwykle w dalekiej drodze! — odrzekła z uśmiechem. — Ale po tylu latach, zapomniało się łatwo wszystkiego, od czego niegdyś ze strachu zamierało serce.

— Bo uważcie Panowie, — przydał Leśniczy z powagą — że droga przypadła ciągle prawie ciemną puszcza, wśród różnych nieprzyjaznych imieniowi chrześcijańskiemu narodów. A potem na morzu, gdzie w każdej chwili życie ludzkie na włosku!! —

— Mój kochany! — odpowiedziała żona, znowu tym podstępem wywabiona na słowo. — Na wszystkie twoje żarty, odpowiem jeszcze raz wyrazami tegoż samego

świętego Spowiednika, które jak dziś sobie pamiętam. — Coś w pół roku po tej podróży, (gdy już nam zmarła nasza kochana Pani) dworacy, tak jak ty teraz, zaczęli byli pożartowywać koło mnie, i nawet koło Panny Zagrajskiej, mówiąc: że chyba przez imaginacyą jeździliśmy do ziemi świętej. Jak byłam gorączka za młodu, odcinałam się im różnie, często że aż z płaczem: ale jednego razu, nie mogąc już ścierpieć dłużej, ośmieliłam się, poszłam prosto do kollegium, wydzwoniłam księdza Spowiednika, i mówię mu o wszystkim. — Moje dziecko! — rzekł mi z początku z uśmiechem — mało-ż to komu nie wierzą ludzie! Ot i księdzu Drohojewskiemu nie chcieli uwierzyć nasze domowe mędrki, choć nawet wydał opisanie swojej pielgrzymki. Jak-że chcesz aby nam zaraz uwierzyli, co nie tylko opisywać, ale nawet opowiadać o naszej podróży nie będziemy: bośmy się na to zobowiązali ślubem. Najlepiej pono będzie i nam odpowiadać tak,

jak księży reformaci odpowiadają za księdza Drohojewskiego: że jeżeli już on był w ziemi świętej, to musiał być, był i basta! — I znowu uśmiechnął się pobożnie, jak to tylko umieli oni jedni, ci święci ojcowie Jezuici. — Pomilczawszy potem chwileczkę, mówił z inszą już twarzą: — Moje dziecko! Ofiara podług sił ludzkich jakakolwiek, byle z serca, zarówno miłą jest Bogu. Twoja pobożna Pani ślubowała ostatnie dni swoje poświęcić na podróż do ziemi świętej: ale czy mogła-by ona swój dobry zamiar doprowadzić do skutku? tego najlepszym jest dowodem nieodżałowana jej strata, którąśmy niedawno oplakali. Zrobiliśmy więc dla niej, co było można, i czego było potrzeba dla spokojności jej sumienia. Co do was, miałyście też obie z Panną Krajczanką część swoją w tej ofierze. Długa droga w posępnej puszczy, a potem po wylanych na kilka mil wodach, nie mniej jest zapewne straszną dla kobiet od podróży w kra-

jach niewiernych i na morzu. Wycie wilków, które nieraz słyŝyaliŝcie na noclegach, bardziej moŝe przeraŝało wam serce, niŝ ryk lwów i tygrysów moŝe zatrwaŝać ludzi dobrze uzbrojonych i jadących gromadą. Prócz tego, masz wiedzieć, dziecie moje, ŝe lwów i tygrysów nie tak to juŝ łatwo napotkać teraz po drodze do ziemi ŝwiętej. A kradzieŝe i rozboje, jakie się czasem zdarzają w ziemiach tureckich, jestem pewnym, ŝe przez całą podróż nie wychodziły wam z głowy: codzien więc modliłyŝcie się szczerze, a na miejscu obchodziliŝcie stacye na kolanach i ze łzami, odbyliŝcie spowiedŝ przykładnie, i tak zbawiennie dostąpiłyŝcie odpustu, jak tylko moŝna go dostąpić z żywą wiarą i skruszonym sercem! O ile tedy dobro duszy wyŝszem jest nad wszystkie dobra doczesne, o tyle — ŝe po prostu ci powiem, moje dziecie — moŝesz niedbać o wszystkie przymówki i dworowania waszej niedowarzonej młodzieŝy. Na wszelki jednak

przypadek, dobrze jest żeś mi przyszła z tem, moje dziecko: dziś jeszcze zobaczą się ja i pomówię z waszym marszałkiem, żeby im tam troche poprzcinał nosa. I Amen, dziecko moje! Nie szermuj o tem więcej z ludźmi językiem: bo cię tylko ośmieją, a cierpliwości pewnie nie nauczą! — Otóż pamiętając na te święte słowa, darują mi kochani Panowie, co powiem: że już mię więcej o nic co do tej rzeczy pytać nie trzeba! —

— Dalibóg — rzekł Karol — zawsze i zawsze nie można odmówić racji tym dziwnym ojcom Jezuitom. Bo jak też, pytam, inaczej można było począć z Panią takiego mocnego jeszcze ducha, a oczu już słabych — i która przytem ostatnie wsi swoje zapisała dla kollegium!

— Co do mnie — rzekłem — jednego jeszcze byłbym ciekawym, to jest: samej Jerozolimy?

— Nie byłoby w tem cudu, jeźlibyś Pan nawet już ją kiedy widział — odpowiedział Leśniczy. — Ilem mógł wnieść ze słów mojej żony, która jak Panowie widzicie, nie nader chętnie wchodzi w szczegóły swojej pielgrzymki, musiała to być jakaś pół-żydowska pół-litewska miejscina, jak np. znajoma zapewne Panom, Druskienicka Rotnica, z tym tylko dodatkiem, że był w niej klasztor, czyli jak je nazywano kollegium Jezuickie, z kalwaryą i stacyami, bez których już też niepodobna było ojcom zprezentować Jerozolimy. Mowa litewska, której ani kanclerzyna ani Panna Zagrajaska, ani moja żona nigdy w życiu nie słyszały, wybornie im uszła za turecką: Żydzi w Jerozolimie właśnie byli na miejscu: a do reszty uwag niedopuszcilo wielkonocne nabożeństwo, odprawiane podobno oddzielnie dla Pani Kanclerzyny w kaplicy klasztornej, i czuły nadzor ojców Jezuitów, którzy dla pań bogatych wyprawiali i cudowniejsze je-

szcze cuda, jak bywało mówi zapędziwszy się w pochwałach szef naszego batalijonu. *)

W tem Cyryllek należycie już czerwony i napudrowany szronem, wszedł z oznajmieniem: że konie niecierpliwia się od zimna.

Żeśmy się rozstali z najszczerzem uczuciem, i nie na zawsze pożegnali gościnną chatkę i jej szlachetnych mieszkańców — czy-ż by kto jeszcze mógł pytać o to?

*) Ks. Kollataj (patrz: Stan oświecenia w polsce w ostatnich latach Panowania Augusta 3. str. 87—89) zamienia Pielgrzymkę Szembekowej na pięcioletnie codzienne przechadzki po olszynie Babińskiej, w towarzystwie czterech ojców duchownych. Oczywiście znamienity ks. Podkanclerzy miał o tej pielgrzymce wiadomość nie z pierwszej ręki, i już zamąconą przez różne złośliwe dodatki. Nasze opowiadanie, prócz powagi Leśniczyny ma jeszcze za sobą ten wielki dowód wewnętrzny: że ojeowie Jezuici, tak nadzwyczajnie czynni, nie ofiarowali-by się zapewne na codzienną pięcioletnią peregrynacją po babińskiej olszynie!

— Ale Bethsy? i jej narzeczony?

Och! to cała powieść, którą opowiem wam inną razą, jeżeli jej tylko już kto nie opisał i nie uprzedzi czynem mojego zamiaru. Bo czyli-ż nie dostrzegacie, że coś jest, czy w powietrzu, czy w tym okrzyczanym prądzie elektrycznym, który z kolei wstrząsnął i naszą literaturę, że w każdych niemal dwóch powieściach lub poematach wydanych spółcześnie, spotykamy nieraz jedne prawie i też same obrazy, jedne i też same myśli — i to w podobieństwie formy tak uderzającym — że czytelnicy najniewinniej wpadają na podejrzenia uwłaczające genialności, a piszący ponieważ nie jakoś nie radzi są sobie, jak kobiety spotykające się niespodzianie w jednostajnych barwach i strojach. Niesłuszne przecież podejrzenia i gniewy. W każdej epoce, myśl jakaś wielka upada z góry jak aeryolit i rozsypuje się na niepoliczonych części: szczęśliwsi podejmują i składają co pię-

kniejsze ułamki: inni znajdują bryłki po-
mniejszych; jedni i drudzy śpieszą ogłosić
swe odkrycia, nie mając wszakże do nich
prawa wyłącznej własności. Bo wszystko tu
zależy od samego aerolitu.

ROZALJA SZEJNER.

ROYALTY SEVEN.

Wszyscy mieszkańcy Litwy, cośmy jeszcze nie byli w Druskienikach, mamy ściśle obowiązek znosić cierpliwie naszą smutną dolę, słuchać ze skrucą zarzutów, żeśmy dobrowolnie nie przysporzyli sobie jakich trzydziestu lat wieku, i wzdychając podziwiać cudowne własności tych wód szczęśliwych. Pomyśleć sobie zwłaszcza, że proces zaopatrywania się w zdrowie, odbywa się tu jakimś prawdziwie czarnoksiężkim sposobem, pod otwartem niebem, nieustępującem zgoła niemieckiemu, wśród domowych bogów i ludzi, wśród łatwej obfitości, wśród

zabaw i rozrywek, do jakich tylko chore serce zatesknić sobie może, zaczynając od melancholijnych przechadzek nad brzegiem rodzinnego Niemna, od filozoficznych kombinacyi w kłębach dymu nad zielonym stolikiem, od koncertów, teatru, heców, aż do wirowego upojenia w platonicznej atmosferze balów, gdy biedna ziemia znika z pod stóp chorego, a krąży z nim dokoła tysiące lepszych światów — tak, chwilę tylko pomyślić o tem, i nie podobna odjąć się podziwieniu, do czego też to nie doszli ludzie w naszym wynalazkowym wieku? Wszakże to cień nawet, imię nie pozostało tego gorzkiego leczenia, do którego taką śmiertelną odrazę czuli niegdyś nasi przodkowie, że chcąc nie chcąc musieli jak najmniej doznawać chorób. Prawdziwa przecież mądrość i odwaga zależą nie na unikaniu niebezpieczeństw, lecz na ich pokonywaniu. Stanąwszy na tym pewniku, wiek Watta, Daguerra i Hegla, zamyślił się genialnie

przez parę chwilek, i postąpił sobie z medycyną podobnie jak z podróżami. To co niedawno jeszcze było przedmiotem ostatniej tylko potrzeby i źródłem tysiąca goryczy, kłopotów i udręczeń, dziś jest przedmiotem szlachetnej żądzy poznania świata i źródłem nieznanych dotąd w życiu, jakby czarowną laską wywołanych przyjemności. W rzeczy samej kursa wód mineralnych i jazda na parowych statkach i powozach, to są dopiero prawdziwe zwycięstwa człowieka nad przyrodzeniem, obok których droga olbrzymów, piramidy, Holandya, Wenecya i Simplon, są tylko świadectwami drobiazgowej pracowitości synów ludzkich, podobnej słowo w słowo do pracy mrówek, wydeptujących dróżki wśród wrzosu, i usypujących mrowisko — wielkie zapewne względem sił robotników — lecz cóż, gdy je dziś jutro wiatr rozmiecie!

A jednak, łaskawy nasz Boże! nie źle też jest być i zdrowym! — rzekłem do sie-

bie, rozmyślając o tych cudach ludzkiego rozumu, i o tych wszystkich szczęściach w jakie opływają chorzy u wód Druskienickich. I uspokoiwszy się nieco tą myślą, układłem się sobie na jednej z dwóch mych skromnych kanapek, wśród których mam zawsze nieograniczony, a więc nie łatwy wybór do poobiednich mych leży. Gdy mówię: nieograniczony a więc nie łatwy wybór, nie idzie mi tu ani o igraszkę słów, ani o żadną teorię. Rzecz się ma po prostu. Obie me biedne sofki odpowiadają zarówno celowi poobiedniego leżenia: lecz będąc usytuowanym na jednej z nich, mam przed sobą dwa okna wychodzące na dziedziniec i vis à vis niewielkie zwierciadło, zawieszone wprawdzie pionowo, ale zawsze jakoś chwiejące się z lekka: albo więc mogę patrzeć na wszystkich przechodzących po dziedzińcu i widzieć stan pogody, co jest zaiste rzeczą nie-malej wagi: albo gdy utkwię wzrok w waha-jące się zwierciadelko, zrazu widzę się tylko,

a wnet potem już się i czuję kołysanym z mą kanapką, tak jak gdybym płynął, w najpiękniejszą do żeglugi porę, na okręcie.

I zda mi się że już lecę,

Że już lecę, że już płynę. *)

Lecz i kanapka druga ma też swoje powaby, nie mniej do rozkosznych wizyi usposobiające. Widzę z niej oto alkierzyk, a w nim siedzącą nad krosienkami mą żonę: i ponieważ patrzę na pół już przymróżonemi oczyma, widzę ją jakby w perspektywie, tak zupełnie jak przed laty dwunastu. — Złudzenie wprawdzie optyczne, ale bardzo pożądane i pełne komfortu. — Koło niej snują się dzieci, i to budują sobie domki, to ubierają lalki, to szepczą coś do siebie i mrugają figlarnie, to szczęśliwie chichoczą: a matka im grozi czasem, widocznie zalecając cichość i wzgląd na ojca; wszystko to drobnostki, ani słowa, bardzo prozaiczne,

*) Zaleski.

ale człowieka zdrowego niewymownie jakoś zajmują i zobowiązują i przygotowują do miłych marzeń. Wybór zatem, powtarzam,cale nie łatwy, istny *embarras de richesses!*

Cóżkolwiek bądź, ten ważny wybór, przypadł mi tą razą, na kanapkę N. 2. W liczbie dziecinnych figlików, na które patrzyłem, nie pamiętam już jaki tak serdecznie mi się podobał, żem zapragnął ucałować przynajmniej najmłodszego, sądem matki, najdowcipniejszego psotnika. Bo dziatki, jak nadzieje, im młodsze tem więcej obiecują. Gdy więc zawołany pieszczoł, namyślił się wreszcie przytoczyć, wspiąć się na palce, i użyczając mi jakiegoś mimolotnego busiaka, oglądał się tym czasem, czy mu kompanija nie popsula kartowego pałacyka? dla ukarania małego egoisty i obudzenia w nim czułości, podniosłem go i posadziłem przy sobie, wiedząc z doświadczenia, że zaraz mi szczerzej przymilać się zacznie, bylebym tylko puścił go na swobodę. Tak

się też stało. Chłopczyna raz poraz zaczął mię całować, to w czoło, to w oczy, litanijując żałośnie: «puść papo!» W tem otworzyły się drzwi z cicha, i weszła kobieta, już nie młoda, biednie odziana.

— Daruj mi Pan — rzekła nieśmiało — że przerywam mu swobodną chwilę. Ale i Pań masz dzieci... —

Łzy nie dały jej mówić dalej.

Niewiem, czemu mi przykro było być szczęśliwym, w obec nieszczęśliwej. Spuściłem mojego chłopczyka na ziemię. Lecz i on nie spieszył do swych cacek. Stanął przy mnie i patrząc na przybyłą, powtarzał mi z cicha: «Ciocia płacze.»

Tymczasem uboga podała mi jakiś papier. Choć treść jego z góry mogła mi być wiadomą, chcąc wszakże oszczędzić łez tej biednej, a sobie mimowolnego może rozczulenia, tak niewczesnego, zdaniem lekarzy, po obiedzie, przyjąłem i zacząłem czytać prośbę. — Była ona, jak zwykle, do wszy-

stkich Jaśnie wielmożnych i wielmożnych Panów, którzy mają z przyrodzenia szlachetny pochop do wspaniałomyślności, i bez których o jakże byłoby źle biednym na świecie! — Treść jednak samej prośby była tak czułą, rzewną, po prostu ale z serca, niewątpliwie z serca wypowiedzianą, że ją odczytał raz i drugi, z niemniejszą może atencją, niż znamienity ów znawca laków porównywał i oceniał je niegdyś na pieczętkach; w końcu niemogłem przewieść na sobie, i jakby to miało właśnie najpilniejszy związek ze wspaniałomyślnością, spytałem u staruszki: kto jej pisał tę prośbę!

— A to sam biedny mój Józef, proszę wielmożnego Pana.

— Jakto! już będąc obłąkanym?

— Ach! tak-ci! Tej samej jeszcze nocy, jak go Bóg tem srogiem nieszczęściem nawiedził.

Odpowiedź ta wprawiła mię w nowe zdumienie. Prośba była pisaną w imieniu

matki, która wydała ostatni grosz na wychowanie syna, i już doczekała się po nim przecię, że miała na starość przytułek i dzienne wyżywienie, gdy Bóg nieszczęśliwemu jej synowi odjął swój dar święty — może już nawzawsze — i teraz obojgu im pozostaje tylko żyć o tem, czem ich zechcą wesprzeć dobrzy ludzie, ci którzy wierzą i pamiętają, « że każde miłosierdzie na ziemi, zapisują aniołowie niebiescy, a Chrystus Pan najdroższy policzy je sam kiedyś i wynagrodzi po bosku. » — Zdało mi się nie do pojęcia, aby mógł człowiek przewidzieć z sobą podobne nieszczęście, i zabierać się z taką przytomnością do obłąkania. Prosiłem więc starsuszki, aby mi choć w kilku słowach opowiedziała od jak dawna i z jakiej przyczyny syn jej uległ obłąkaniu?

Oto są własne słowa tej biednej matki:

— Rok to już trzeci, temu nieszczęściu, proszę Boga i mojego łaskawego Pana. A z jakiej przyczyny, to znowu sam tylko Bóg

jeden na wysokiem niebie znać raczy. Dzieciuch był zawsze dobry i z małości uległy ojcu i matce — blondynek uśmiechliwy, rychtyk jak ten oto synek Pański, niech go Bóg strzeże i hoduje! — ach! i on tak bywało pilnuje się boku ojca, choć go mało kiedy widywał: bo mąż mój, proszę wielmożnego Pana, był z professyi sukiennikiem z Poznania, a jam sama rodem z Mazowsza: sprowadził nas był do Słonima och! Pan Senator; otóż jak mąż mój odumarł, pójdzie to już na ośmnaste lato od drugiego dnia tegorocznych zielonych świątek, komu ich da Bóg doczekać! Józiek mój miał wtedy dopiero siódmy roczek, ale już miał dobre początki pisma i rachunku, i czytał w lot na książce czy to polskiej czy niemieckiej; więc zaczęłam oddawać go do szkół. — Przycierpię biedy i nędzy — myślałam sobie — wyfantuję się choć do ostatniego rupiecia — dziej się Jego święta wola! — ale niech moje dziecko będzie człkiem, a ono mię

niegdyś za to przytuli i dochowa do śmierci. I Bóg najwyższy dał mi cierpliwość i zdrowie. — Och! kamienne Panie, zdrowie! Bywało, raz w tydzień, jeżeli pokosztuję cieplej strawy, to dobrze: a nie, to mi się o niej ani zakorci. Ale moja dziecina musiała mieć co dzień i śniadańko i podwieczorek: bo jak bez wygody zmógł-by biedny robaczek wziąć sobie do głowy tych trudnych pańskich nauk! A Bóg mu dał piękny statek i dobre serce. — Bywało codzień mię się pyta: Czemu to nie jecie zemną matulu? A co sobie gotujecie matulu! — To się mu odpowie albo jadłam już moje dziecko! albo: uspieję jeszcze! albo: zem sobie założyła nowennę. I żeby nie musieć kłamać i obrażać Boga, przez własne dziecko, wysyłam go prędzej do klasy, albo napędzam do łóżeczka; choć Bóg świadkiem, jak serdecznie chciałabym duża matczyzna pomajaczyć z nim i rozerwać się trochę. Tak minęło się kilka la-

tek. Aż, jak dziś pamiętam, raz w piątek przybiega on do mnie i mówi: matulu! Ksiądz Proboszcz chce mnie zrobić w konwicie korrepetytorem, i postępuje mi albo stół albo w rok dziesięć rubli. Jak mi radzicie? — A tyż, moje dziecko, jakeś sobie pomyślał? — A cóż, powiada, mnie i u kochanej matuli nie zbywa na stole: a za dziesięć rubli, to byłoby wam na szlafroczek, i mnieby zeszło na surducik i na reperacyą butów. — Jak sobie chce — powiadam — moje dziecko, ze szlafroczkem: mnie go stanie jeszcze przy zachowaniu i na cztery lata: ale tobie nie obyć się tym ladajakim odziewkiem przy pańskich dzieciach. I samemu twojemu dobrodziejowi księdzu proboszczowi byłoby to przeciwnie! — To choć trzy, choć dwa ruble excypujcie sobie z tej korrepetycyi, kochana matulu! — Nie, moje dziecko, nie chcę i nie zaakcy-puję ani grosza. Jak ci Bóg więcej da sposobu, a mnie ujmie siły, to jeszcze się

o mnie napamiętasz! — Stałam przy swoim, i za pomocą boską, znowu tak siak przekołatało się dwa lata czasu. Aż po exa-
minie, na ś. Piotr, kiedy na nieszporach
rozpuszczano szkoły i wydawano świadectwa,
bieży mój Józef prosto do mnie z kościoła:
drzwi były otwarte, bom pod tę porę palila
w piecu: wbiegł i cały mi do nóg. — Je-
zus! Marya matka Jego! — krzyknęłam. —
Co tobie moje najmilsze dziecko? wstań że
no żywiej, bo aż mi serce zdrętwiało. —
Kochana matulu! pozwólcie niech ja tu po-
dziękuję Bogu i tobie! — Myślałam, że mi
on chce dziękować za szkoły; zaczęłam tedy
płakać, i podejmować go, i powiadam całuj-
jąc: wybacz mi, moje kochane dziecko!
Jakem mogła, takem cię doglądała. Wybacz
mi, i niech ci Bóg da lepszy sposób i dołą!
— Nie mogłam więcej powiedzieć za płac-
zem, bo mi serce ścisnęło się z bólu, że
to dziecko, takie dobre, upadło i kwili mi u
nóg, choć umie dziesięć razy więcej ode-

mnie, i choć nie miało odemnie nic więcej prócz chleba i mizernej strawy. — Aż on, odetchnawszy sobie trochę: — nie płaczcie bo już — mówi — kochana matulu! posłuchajcie! oto po examinie podszedł do mnie sam Pan Sprawnik i pyta: czy to Pan jesteś Józef Szejner? — Tak, odpowiedziałam. — Czy nie życzył-byś sobie miejsca w kancelaryi? Jakem widział jego charakter, i słyshałem o jego prowadzeniu się od księdza proboszcza, na pierwszy raz mogę mu przyrzec pensyi 300 rubli assygnacyjnych. Jakże czy zgoda? — Ksiądz proboszcz patrzył się na to wszystko zdaleka, i dawał mi znaki, abym podziękował Panu Sprawnikowi. Pocałowałem więc go w rękę, i powiedziałem: że zgadzam się, tylko dołożę się wprzód waszej woli, kochana matko! — Aż w tem podchodzi Pan Horodniczy, i słyszawszy znać, że o was wspominał, bierze mnie pod rękę, odprowadza na stronę i mówi mi te słowa: — A wiesz-że o tem

Panie Szejner, jaką masz matkę? Choć jestem tu niedawno, ale powiedział mi dozorca waszego kwartału, że twoja matka, przez cały czas, jak cię oddaje do szkół, ostatnia kładnie się do snu i najpierwsza wstaje w całym mieście, obchodzi się prawie o suchym chlebie, przez całą zimę nie wychodzi z domu, dla braku obuwia; a jednak WPan nie byłeś u niej zapewne przez cały czas swej nauki, ani głodnym ani bosym. Otóż twoja teraz kolej, Panie Szejner! niech ci Bóg dopomaga! — To mówiąc uderzył mię po ramieniu, i odszedł zostawując mię ni-to żywym ni umarłym z podziwienia i żalu. Ledwie już przypominam sobie, jak przez sen ostatnie słowa, które mi rzekł Pan Sprawnik: — czekamy tedy cię jutro Panie Szejner w kancelaryi! — Ale co słów Pana Horodniczego, to nie zapomnę ja, kochana matko, póki życia! — I znowu mię ścisnął za nogi, znowu całował w ręce, mój syn kochany.

Ostatnie to przypomnienie, najuroczystsze i najświętsze zapewne w życiu matki, dawno już musiała sobie odnawiać biedna staruszka: bo nie wytrzymała w tem miejscu i rozkwiliła się głośno. Moja żona, która już oddawna odeszła od krosienek i przysłuchiwała się z uwagą jej opowiadaniu, rada tak dobrej do łez sposobności, dopomogła jej z całego serca. Starsze dzieci poszły za przykładem matki, może nawet nie zupełnie pragmatycznie wiedząc o co idzie: tylko mój najmłodszy pieścuch zachowywał się jeszcze stoicko. Lecz udzielając mi ciągle jednych a jednych postrzeżeń, że mama płacze, Tosia płacze, ciocia płacze, i ciągnąc mnie za rękę, oczywiście znudzony, zdawał się mi doradzać coś podobnego, jak ów ulan mazur, na patetycznem niemieckiem kazaniu doradzał swojemu porucznikowi: — Wyjdziema ztąd sobie lepiej, proszę wielmożnego porucznika, bo się nas Niemcy okrutnie boją! —

— Jaka-ż najbliższa przyczyna, ile przynajmniej ci się zdaje, mogła być tego obłąkania? — spytałem biednej Szejner. — Może choroba, bezsenność, albo może twój Józef za wysoko się zapatrzył? nigdy-ż ci się z czem podobnem nie zwierzył?

Po tem ostatniem pytaniu w duchu spekulacyjno-powieścio pisarskim, spodziewałem się najwięcej, i jużem zawczasu ostrzył me gęsie pióro, dla skorzystania z cudzego nieszczęścia, jak drapieżny ptak cieszy się ze szkody gospodarza.

— Nie, nie, łaskawy Panie! żadnej a żadnej wyraźnej nie było przyczyny. Nieszczęście to nagle spadło na niego i na mnie, jak Boży piorun. Pilnował on kancelaryi, jak własnego oka, wracał zawsze o jednej porze prosto z Sądu do domu, nigdzie a nigdzie krokiem go nie było, prócz w każde święto i niedzielę do Bożego domu. Sam Pan Sprawnik, ile razy bywało idzie naszą ulicą, to nigdy tak nie przejdzie, ale zawsze za-

puka do mojego okna i powie: — Dzień dobry! albo: dobry wieczór! ślicznego masz syna, Pani Szejner! — Dzięki Bogu i wielmożnemu Panu! odpowiadam na głos, i śmiejąc się i płacząc. Ale nim uchwycę na siebie jaką chuścinę i podbiegnę do okna, on już daleko. To tylko przed obrazem mojej najśladziej Częstochowskiej Matki, człowiek bywało da pełną folgę sercu! —

— Jaki-ż był przynajmniej początek jego choroby? — przerwałem już niecierpliwszy, że zawiedziony w mojej powieścio-pisarskiej nadziei.

— Och pod ten czas, Panie, zostawał on już u wodnej kommunikacyi. P. Major Sziller wyprosił go sobie u P. Sprawnika, dla tego że mu potrzebny był kancellista, coby umiał po rossyjsku i po niemiecku: i zaraz podwyższył mu za to gaży 100 rubli. Józef mój zawsze bywało mówi: że to i ojciec i professor mu jest P. Sziller, i że więcej od niego może się nauczyć, niż w całych szkołach.

— Niewiem tego, moje dziecko, bom ja prosta kobieta — odpowiadam mu bywało — ale czy tobie więcej trzeba tego czytania i pisma niż ludziom! — To on zaśmieje się mi tylko i mówi: — Kiedy-ż bo kochana matulu, aż strach bierze, jak ja nie jeszcze nie umiem! — O! nie głupie-ś ty już, moje dziecko! — myślę sobie — kiedy tak mówisz! — Otóż w ten dzień nieszczęśliwy dopustu Bożego, jakem żywa i stoję tu przed mojem łaskawem Państwem, tak będę mówiła istną prawdę. Zgotowałam na kolacyą kaszki tatarczanej w mleku, nakryłam do stołu, i myślę sobie: nim nadejdzie mój Józef, zdrzemię się trochę. Przyległam tedy sobie, ręka pod głowę tak tylko na czasek: i zaczęło mi się pleść to jedno to drugie, jak zwyczajnie, kiedy człowiek snem zabawny. Aż w tem, widzę zda się wyraźnie, i to już niby na jawie, otwierają się drzwi, wchodzi mój mąż nieboszczyk — niech mu wiekuiście świeci! — W tym samym grana-

towym surducie z błyszczącemi guzikami, w kołnierzyku i w białej chustce z fontaziem, jakem mu ją zawiązała, gdy już leżał na tapczanie: wszedł, i stanąwszy u progu nie idzie dalej, tylko mówi do mnie: — Rosalchen! (bo tak on zawsze bywało na mnie) jaka to z ciebie niewiasta i matka! spis nie pomyślawszy ani o pacierzu, ani o dzieciciu! I zniknął, ale jak? czy przez drzwi, czy się rozszedł cieniem na miejscu, tego już Państwu nie mogę powiedzieć; bom krzyknęła tak, że własny głos posłyszała i równemi nogami stanęłam na ziemi. Patrzę, aż świecy upaliło się więcej niż połowa. Ach! Boże mój! Toć już noc musi być głucha, a mojego Józefa jeszcze niema! Nic mi jednak o nim złego nie przyszło pod tę porę do serca: bom pospieszyła naprzód pomodlić się za duszę mężowską i przeprosić Boga, że ją spać nie poleciwszy się Jego świętej opiece. Ale wstawszy od pacierza, tknęło mię w serce: czemu to nieboszczyk,

co nigdy za życia nie powiedział mi przykrego słowa, chyba kiedy się czasem bywało podochoci, (bo dziwota-ż to wielmożni Państwo u ludzi pracujących, jak są rzemieślnicy?) otóż jak sztychem tknęło mię w serce: czemu to mój Johann tak się ofuknął na mnie za dziecie? Czy nie zawierbowali go czasem koledzy na jaką pohulankę? — Zadmuchnęłam tedy ogień i zamknawszy izdebkę — pójde myślę sobie — pierwsz na pierwsz prosto pod dom P. Szillera: jeżeli się tam jeszcze świeci, to dzięki Bogu, wróćę do domu spokojna i odmówię sobie tymczasem godzinki aż go doczekam. Wysłałam, idę sobie, och! Boże mój Boże! wszędzie cicho, ciemno, coś mi się strasznie tak zrobiło markotno, jakby zaczęła już przeczuwać dusza. Aż koło hauptwachty, co ustawnie chodzi żołnierz, pyta mię po swojemu: — kto idzie? — To ja Szejnerowa! — odpowiadam. I daj mu Boże zdrowie, nie nałekał mię już więcej. Aż podle kościoła

księży Dominikanów, kiedym chciała uczynić adoracją Przenajświętszemu Sakramentowi i przyklekłam, słyszę ktoś wyraźniutko i tak dycht bliżencko gada. — Nikt mię nie pośmie zaczepić pod kościołem, myślę sobie, mówiąc: — niech będzie uwielbiony Przenajdroższy Sakrament! — a słucham dobrze i oglądam się dokoła, jak to już darowana krewkość ludzka. I słyszę, zda się niechybi głos mojego Józefa. — Co w duszy to i w uszy, pomyślałam sobie. Aż nie, taki wyraźnie głos jego, mówił pod Twoją obronę i wzdychał coś tak ciężko, że i w trunie jeszczeby sercu matczynemu zabolalo. — Józefie! — wołam — To-ś ty? moje dziecko! — milczy. — Józefie! — zawołałam — odezwij się, bo mi straszno! To ja twoja matka! — Toście wy? matulu! To dzień dobry — mówi — wam matulu! — ale takim głosem, jak by śmiał się czego. Trwoga mię tedy zdjęła okropna, ale to tak, że proszę Boga i wielmożnych Państwa, choć ma-

tka, lękałam się do własnego dziecka dostać. Nie pokazując jednak niczego po sobie, powiadam. — I nie! moje dziecko! jeszcze do dnia z dobra godzinka, pójdźmy do domu! — To dobrze, pójdźmy — powiada — ale-ż kiedy zamknięty! — To ja odemknę — powiadam — mam klucz z sobą. — Alboście wy matulu ksiądz zakrystyan? nie wiedziałem tego sekretu! To odemknijcie-ż, kiedy tak jest. — I poszedłszy do drzwi kościelnych stanął sobie, ale cały trząśł się od zimna. Och! Najświętszy Panie! teraz dopiero zrobiło się mi jasno, co mówił mój biedny Johann. I już jakoś zostałam śmielszą z nieszczęścia. Wzięłam go prosto za rękę — chodź, mówię, moje dziecko, pójdziemy! I poprowadziłam cichutko do domu. Ale przez całą drogę tak mi serce stuknęło, jak gdyby trzeci człowiek szedł z nami. Zapaliwszy w izdebce świecę, powiadam podnosząc w górę: niech będzie pochwalony! — na wieki wieków Amen! odpowiedział

jak najpiękniej. Przybyło mi tedy serca, spojrzę na niego. Błady, smętny, bardzo blady, ale żadnej odmiany ani w twarzy ani w odzieniu: tylko nie miał czapki. — A gdzież twoja czapka, moje dziecko, spytałam zaraz: bo miał nową zieloną czapkę z axamitnym okolnikiem i z czerwonym wylogiem: kosztowała rubla i dwa złote. Aż on dłonią do czoła: — Albo-żem ja, mówi, przyszedł bez czapki? Och! to źle! matulu! Ludzie mówią, kto dziś zapomniał czapki, ten jutro zapomni głowy! — I zaczął płakać. — Nie płacz Józefie! mówię mu, radując się nieszcześnie, że on się mi przecie rozgadał. — Ta zguba się znajdzie! — Oj! nie znajdzie! powiada. I siadł pisać, mówiąc, że mu bardzo pilno. Prosiłam go: czy nie zje czego? Podziękował mi najśliczniej, prosił abym się położyła, a sam zaczął pisać i pisał może z półgodziny — ot tę samą co teraz w rękę wielmożnego Pana, nieszcześnie dla mnie prośbę! — Potem, jak słowo wymó-

wić, choć nie spuszczałam go z oka, rzucił się do drzwi i pobiegł ulicą ku pocztamtowi. Biegłam za nim, krzyząc, płacząc, ażem głos utraciła, i odurzała nareście — nie kłamie wielmożnemu Państwu, odurzałam tak, zem nie wiedziała, ani gdzie jestem, ani po co biegnę i co się ze mną dzieje. Już był świt dobry, gdym się dobiła do domu, i mogłam jakoś opowiedzieć o tem nieszczęściu sąsiadom, a ci uprosili litościwych studentów, że się rozbiegli szukać mojego biednego syna. Znaleźli go w polu, koło dziesiątej ledwie i zaprowadzili prosto do lazaretu: gdzie jak go kaleczyli z lancetów i pijawkami, tego jużem mojemu oczyma nie widziała; bo po południu dopiero dopuścili mię do niego. Patrzył się nieszczęśliwy na mnie, swoje nieszczęśliwą matkę i milczał jak niemy. Tak przeszedł dzień i tydzień i miesiąc. — Zapóźno! — powiadali doktory — już mu teraz dłużej potrzeba kuracyi! — I doradzili mi wieść go do Grodna do księży Bonifratrów. —

Tak! — pomyślałam, na kogo już Bóg Najwyższy postanowi dopuścić jaką niedolę, a ludzie niby chcieliby temu przeszkodzić, to posilują się trochę, a potem opuszczają ręce i nie mają co mówić, tylko: zapóźno! Woziłam go jednak i do księży Bonifratrów. Cóż? wyleli na niego ze sto może wiader wody lodowej, męczyli, dręczyli, i powiedzieli mi wkońcu toż samo: zapóźno! — Mój miły Boże! Czyżem go miała wodzić do doktorów, kiedy był zdrów jak ryba, i żywił mię z uczciwej rąk pracy!

— Zapewne, moja kochana! — rzekłem chcąc coś powiedzieć na obronę nauki, że i szczęście ludzkie i niedola wszystko to w ręku Boskiem — ale i nauka i rozum są to też dary Boskie! nie wszechmocne one dla oddalenia od nas nędz i nieszczęść tego życia, ale w wielu razach pomocne.

Biedna Szejner kiwała głową, słuchając tego syllogizmu.

— A jam się postrzegł w tej chwili, żem

nie chcący przyswoić sobie, i rozciągnął do całej medycyny, znamienitą przemowę, jaką prawią nam Węgrzy przed otworzeniem swojej kantyny z kalibrem kropel i balsamów cudownych.

W kilka dni potem, będąc w Słonimie, na samym wstępie pytałem znajomych o biednego Szejner. Wszyscy mi najpiękniej o nim świadczyli, przydając że co do przyczyny jego obłąkania, z kąd inąd bardzo łagodnego, nie zgadzają się z sobą nawet lekarze. Więc ją zwalono, podobno na kranalogyą która, jak wiadomo, jest w medycynie odwodowym parkiem artylleryi.

Usłużny mój faktor, przysłuchując się z przyzwoitej odległości tej rozmowie, zniknął mi jakoś nagle: lecz zato w pół godziny dał się nam widzieć, nęcąc za sobą, z całą mefistofelowską strategią, jakiegoś młodzieńca, powodującego się mu dość niechętnie. Był to właśnie Józef Szejner. Wzrostu średniego, włosów jasnych, twarzy

ładnej, nawet bardzo ładnej, ożywionej miłym uśmiechem, nie wyglądał on zupełnie na obłąkanego. Tylko z niepewności oczu, które zdawały się to polyskać gniewem i pogardą ku izraelicie, to znowu wyrażały nieograniczoną ku niemu ufność, i z głośnego serdecznego śmiechu, z jakim przyjmował on każdy poszept swojego przewodnika, i zda się co chwila radby był posługiwać się i obywać jego radą i rozumem..... — ale można-ż to jeszcze liczyć za charakterystyczne cechy obłąkania?.. Chyba więc przepuścić należy, że nawet obłąkanie zachowuje, swój że tak powiemy, prowincjonalny koloryt.

Chciałem przypatrzeć się zblizka biednemu młodzieńcowi i ofiarować mu jakąkolwiek jałmużnę.

— Bardzo dziękuję. Jużem miał dziś śniadanie. Bardzo dziękuję! rzekł mi wzbraniając się: i, pomimo zaklęć faktorskich, spieszenie się oddalił.

Ale biedna Szejner! łaskawi czytelnicy! Biedna matka, która dopełniła z swej strony wszystkiego, co była winną krajowi i obowiązkom matki! Czyli-ż jej piękne poświęcenie się i zasługa mniejsze są dla tego, że los dotknął powiewem zniszczenia, tego kwiatu, tak troskliwie przez nią pielęgnowanego i polewanego jej łzami?

O ta uboga matka może i powinna być wzorem matek! A przynieść jej jakiegokolwiek wsparcie w jej smutnem sieroctwie, czyli-ż nie ścisły obowiązek, nieprawdziwy dług towarzystwa?

— Jak-że to szczęśliwie! myślałem sobie, spisując opowiadanie biednej Szejner, że ten artykuł pójdzie do Druskienickiej Ondyny! Czytać go będą ziomkowie moi cierpiący! Wszyscy wprawdzie ziomkowie moi, są wrodzonej Słowianom dobroci i tkliwości serca. Ale dla cierpiących dość mi jest wymienić prośbę, dość ukazać na niezasłużone nieszczęście!

Szanowny wydawca Ondyny, nie odmówi zapewne pośrednictwa ze swojej strony.

r. 1844.

Jak-żeśmy byli szczęśliwi z odebranej w rok potem wiadomości: że Szejner, za pośrednictwem P. Wolfganga otrzymała z Druskienik znaczne pieniężne wsparcie, które dało jej sposób do życia; gdyż odtąd trudni się wypiekaniem chleba. A tak dobroczynność — o czem jedynie temu ukrytemu bóstwu posłyszeć jest miło: — nie posiała na zlej niwie.

MARZ EŃ K O.

WARREN K O

Tak cicho, z niskąd wiatru: dla czegoż
jeziorko marszczy się w te drobniutkie rąbki?
Można-by pomyśleć, że promienie księżyca
zakłóciły jego powierzchnią, lub uwierzyć
z pospółstwem: że w tej chwili ślizgają się
po niem rusalki swawolnice! Nie! Jest to
wieczorna modlitwa rybek? One mówią pa-
cierze.

O te milutkie, rzeźwe, swobodne rybki,
mają wiele, wiele przyczyn do dziękowania
Bogu! Zawsze zdrowe, wesole, w takim
czystym żywiole, i ciągle z sobą, ciągle

razem aż do śmierci ; na samę nawet śmierć własną lub bratnią poglądają one łzawemi oczyma, ale w milczeniu : jak gdyby nie znały ani bólu, ani bojaźni.

Jeźliby miało w sobie choć trochę prawdy to znajome marzenie, że po śmierci rozsypiemy się na wędrówkę po gwiazdzystych światach, których millijony błyszczą nad nami, i że będziemy tam mogli odmieniać życie, podług wyboru, chciałbym, proszę panów, choć na czas krótki, choć za karę być rybką. Bo jeźliby to miał być stan kary, jestem pewnym, że w tej przemianie, znalazłbym się w najmiłszem towarzystwie. Ręczę, jak gdybym już pływał i patrzył czerwonymi oczkami, że ujrzałbym się między samemi kobietami. A cóż-to za nieporównane byłoby towarzystwo ! Co za arcy-szczęście znajdowania się w gronie istot pięknych i doskonałych — już ci też doskonałych — bo milczących piękności !

Słyszałem nieraz o zakłeciach, w skutek

których królowny zamieniały się w złote rybki. Biedne księżniczki ani domyślały się może, że zaklęcie przywracało im najwyższy, piękniejszy w kobiecie niż sama piękność powab, skromnego, dumającego milczenia. Wszystkie przecież cudowne powieści zgodnie zaświadcniają o tem: bo mówią że odczarowane królowny były potem niewymownie dobre i szczęśliwe!

Im więcej myślę nad tem marzeniem, tem je znajduję rokoszniejszym. Cóż, naprzykład, mogłoby wyrównać szczęściu pływania obok tej jednej, tak dobrze znajomej mi rybki, którąbym natychmiast rozeznał wśród millijona? — Jak-że to-byś ją rozeznał? — spytacie. Ach! po oczach, po tych samych oczach, któremi, jak jej groziłem nieraz, jeźlibym był królem, rozkazałbym aby wciąż, zawsze, patrzyła na mnie!

Skrzele obok skrzela, z ust do ust dzieląc się każdą muszką, nieodgadywani, nie-

obwiniami — ot nikt-by nawet nie mógł
nas zapytać: dla czego patrząc na siebie
mamy mokre oczy?

Marzeńko z roku tysiąc

ośmset

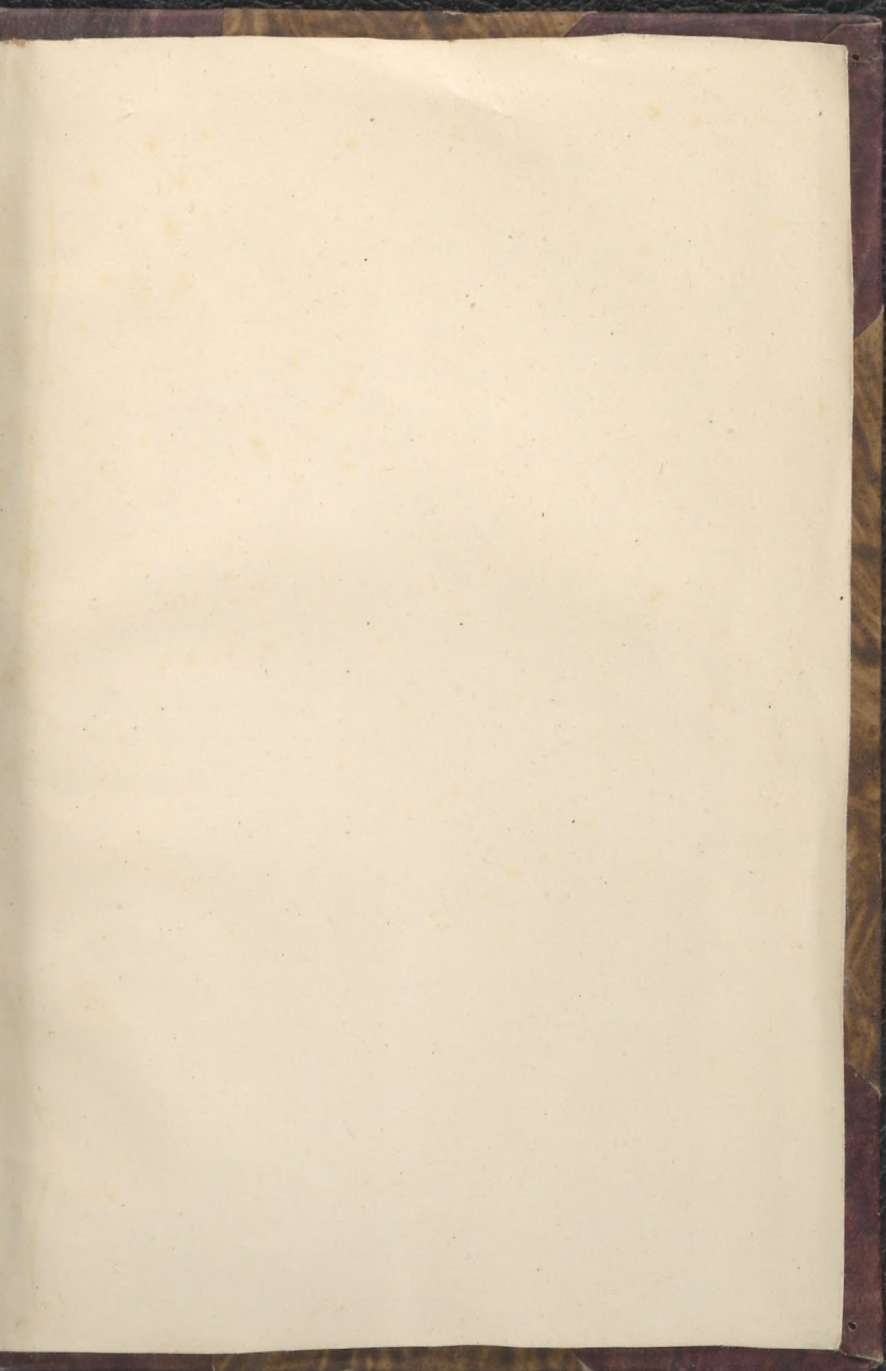
ach! dawno już! dawno!

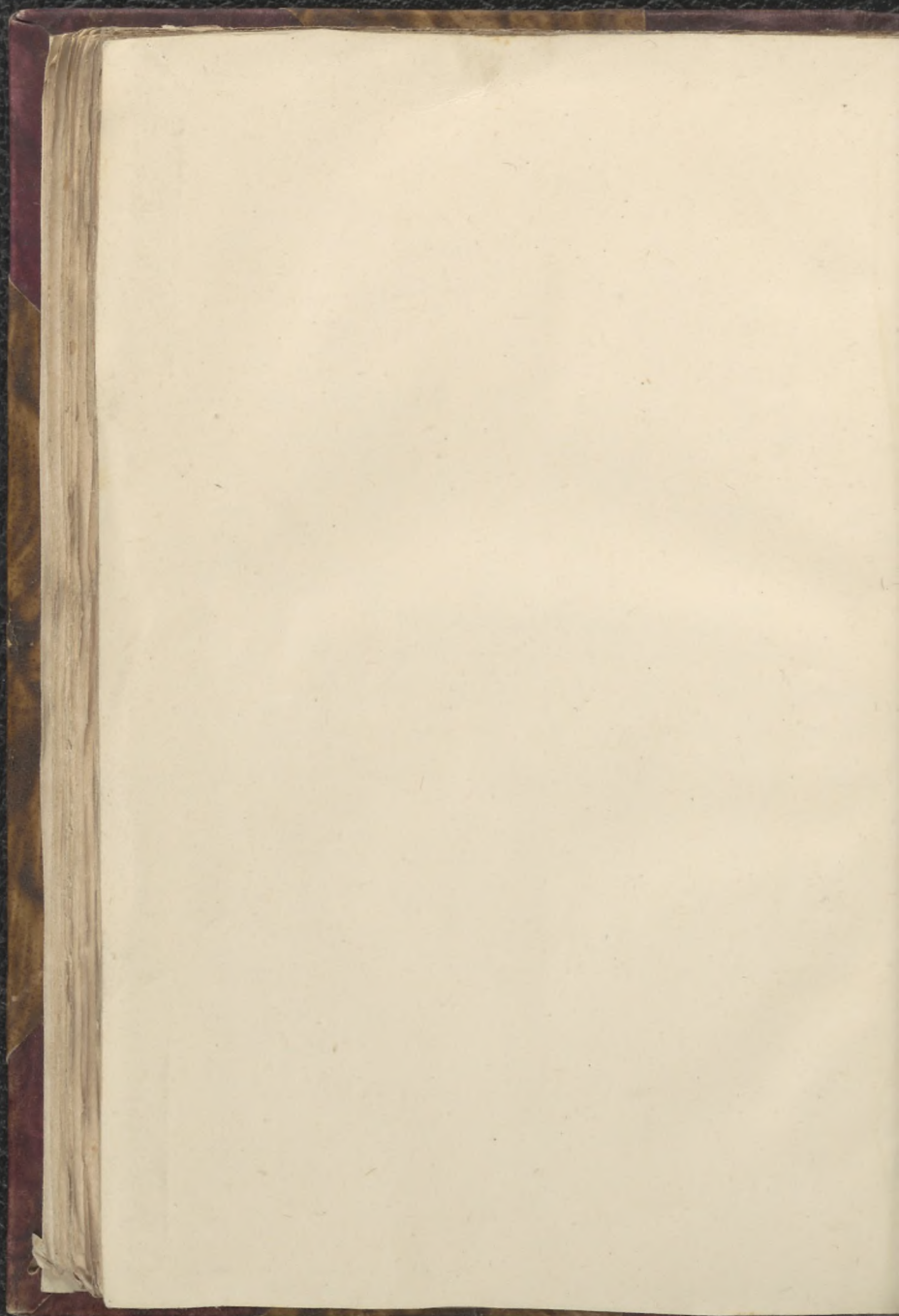
R O N I E C .



	Str.
1. Wspomnienia myśliwskie.....	1
2. Rozalja Szejner.....	149
3. Marzeńko.....	181

Drukiem Breitkopfa i Härtla w Lipsku.





400 —

43444 / 83

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001019980674

Antykw. Nauk,
Kraków 28.11.83.
-400z



BN

BIBLIOTEKA
NARODOWA

1462372